

KAMERA

LUBLIN 4 XI 1973 Nr 22 (534)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

O butach
z Łukowa
str. 5

O procesie
fałszerzy matur
str. 10

O praktykach
studenckich
str. 7

Totkowi milionerzy po 15 latach

Stanisław Harasimuk

— Panie, ja panu wynadgródzę, ja może co sprzedam, ja się odwdzięczę, tylko niech pan jakoś pomoże, bo ja już sama nie uradzę, nic, tylko siąść i płakać. Wszystko przez ten przeklęty milion! Same z niego nieszczęścia tylko i utrapienie...

OLIMPIA Zajdel, Matka milionerki. Sama w Białej milionerką zwana. Odnalazła mnie za pośrednictwem redakcji „Sztandaru Ludu” i na początek prosić ją o zamieszczenie wyjaśnienia, że córka wygrała milion w 1958 roku i nie ma nic wspólnego z opisanym swego czasu przeze mnie przypadkiem bialskiego milionera-utrącajusza Anno Domini 1969. Prosi o to sprostowanie, bo ludzie mimo wszystko z niej się śmieją, sąsiedzi też, a przecież jej mąż nie był żaden milioner, uczciwy był człowiek, to każdy wie i zaświadczy, uczciwy był i takim dokonał swego żywota.

— Wszystkie jesteście proste i uczciwe ludzie, ale takim to wiatem zawsze w oczy

Placz. W przerwach chaotyczna relacja o splełanych perypetiach, paśmie

chorób i nieszczęść, złej woli, ewidentnej wrogości i bezduszości. Zwyczajnej. Ludzkiej. I ten placz. Trudny do opanowania, spazmatyczny. Ból słwej, wymizerowanej kobieciny jest autentyczny, jej rozpacz aż nadto prawdziwa.

Zjawiam się więc niebawem w Białej Podlaskiej, na jej peryferiach właściwie, tuż przy torach międzyrodowej magistrali, na ulicy Witorożskiej 95. Domy wokół okazałe i chatynki wiejskie zgoła. Aż do znudzenia równinne pola podlaskie. W bliskiej perspektywie las rozległy, młodnik przedwześnie śniegiem wybielony.

Sąsiedzi wskazują skleconą z cementowych cegieł komórkę w głębi podwórza. I tu pierwszy, grubo przed-

(Dokończenie na str. 8)



Automaty i kultura, czyli świat się nie zawalił. Czytaj str. 8-9

Fot CAF (Z. Jaśkiewicz)

TRZEBA obiektywnie przyznać, że ze wszystkich lubelskich instytucji trudniących się szerzeniem w masach zainteresowania dobrami kulturowymi PPIA-Estrada jest placówką bodaj najbardziej rzutką. Ma bowiem ona normalne handlowe podejście do sprawy. Kierownictwo jej dawno zrozumiało, że „kultura” jest, powiedzmy to bez niemądrej prudencji, towarem, jak każdy inny, podlegającym prawu podaży i popytu, ergo — że gdy się chce sprzedać swoje asortymenty kulturowe, należy organizować sprzedaż fachowo, przede wszystkim przy pomocy atrakcyjnej reklamy (którą kto chce może ładnie nazywać propagandą).

Spójrzmy na ostatni program Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Imprez Artystycznych — oto zawarte tam oferty:

Estrada Lubelska organizuje artystyczne imprezy estradowe różnych form: Dla szerokiego odbiorcy • Popularne programy estradowe • Montaż znanych sztuk i operetek • Programy literacko-muzyczne • Programy kabaretowe • Występy solistów i wieloosobowych zespołów z kraju i zagranicy • Programy okolicznościowe (...tematycznie związane z obchodzonymi uroczystościami państwowymi i zakładowymi...) • Programy młodzieżowe,

prezentujące popularną muzykę rozrywkową, big-beatową, jazzową • Programy szkolne, dydaktyczno-rozrywkowe...

Zaiste są to asortymenty imponujące urozmaiceniem. Co do ich jakości, to ocenić ją potrafią chyba tylko świadomi odbiorcy oraz pedantyczny recenzent-inspektor, który podjąłby ciężki trud systematycznych wędrowek po tzw terenie. Będąc krytykiem raczej wygodnickim, mogę tylko snuć domysły, że Estrada, na wzór roztropnych komersantów handlujących chodliwym towarem, wyklada na wierzch swój gatunek I. I chyba nie omyli się, gdy przypuszczę, iż tym najbardziej atrakcyjnym, „firmowym artykułem” są doroczne „Prezentacje” zapoczątkowane kilka lat temu pt. „Nasz Mały Festiwal”!

Przechodząc już do jednoznacznej pochwały, bije gromkie brawo Estradzie Lubelskiej, za nader efektowne otwarcie „Prezentacji 73”: nabierającą już rozgłosu rock-operą „Naga” oraz przepyszną adaptacją „swoistego arcydzieła” — „Ordynata Michorowskiego”, dokonaną w katowickim kabarecie „Sruba”.

(Dokończenie na str. 12-13)

Chwałę „Naga”

Maria Bechcyc-Rudnicka

NIE było gromkich sloganów. Rzeczowość, zaangażowanie, obywatelska troska o losy kraju — oto co cechowało zarówno programowe referaty jak i wypowiedzi dyskutantów. Ci, którzy nie mogli zabrać głosu zarówno na posiedzeniach plenarnych jak i w komisjach problemowych, przedstawili swoje myśli na piśmie. 942 delegatów na 2500 uczestników Konferencji czynnie uczestniczyło więc w obradach. Ich opinie, stanowiska poszerzyły zakres wiedzy o współczesnym życiu kraju i narodu, pomogły lepiej sprecyzować końcowe uchwały.

Konferencja odbyła się zaraz po półmetku planu pięcioletniego. W latach 1971—1973 produkcja przemysłowa zwiększyła się o ok. 35 proc., dochód narodowy rósł w tempie 9 proc. rocznie, o 50 proc. szybciej niż w poprzedniej pięcioletce. Przeciętna miesięczna płaca nominalna netto w gospodarce społecznej (dane z I pół-

równomiernym poczuciu obowiązków i odpowiedzialności za powierzony im odcinek pracy. To właśnie oni dostają zadyski przy „wydłużonym kroku” większości społeczeństwa, tworzą swoiste „wyspy” balaganu, niedoleństwa, nierobstwa w dobrze gospodarującym powiecie czy gminie lub sprawnie funkcjonującym przedsiębiorstwie. A I sekretarz KW PZPR w Krakowie, Józef Klasa, zwrócił uwagę na konieczność stałego analizowania i wyciągania wniosków z negatywnych zjawisk, które występują w społeczeństwie. Wypowiedział się za bardziej konsekwentną walką z pijaństwem, kradzieżami i łapownictwem. Interesujący był też głos Zygmunta Radajewskiego z kopalni „Moszczenica”. Z zadowoleniem powitał on zamrożenie cen na artykuły żywnościowe, ale unaoecznił jakby drugą stronę medalu: z owego zamrożenia korzystają ci, którzy pracują do-

A więc znów praca z ludźmi. A więc kierowanie. Nie można tolerować marnotrawienia czasu, powodującego, iż np. w przemyśle udział godzin z różnych powodów nie przepracowanych wciągnął przekracza 8 proc. nominalnego czasu pracy. Dane te znalazły się w wystąpieniu Edwarda Gierka. I zaraz potem I sekretarz KC zwrócił uwagę na problem polepszenia gospodarki materiałami nie ograniczając się jedynie do sfery produkcji. Chodzi o racjonalne wykorzystanie wszystkich materialnych produktów pracy narodu i wszystkich składników majątku narodowego, niezależnie od tego, czy stanowią one tworzywo pracy, czy też przedmiot spożycia.

Doprawdy trudno w krótkim materiale przekazać całe bogactwo myśli zawartych w referacie Edwarda Gierka, a ściślej w referacie KC PZPR, wygłoszonym przez I sekretarza KC.

w ciągu trzech lat o 20 proc. To cieszę. Ale jednocześnie istnieje wiele gospodarstw, których właściciele nie reagują ani na bodźce materialne i słowa perswazji, ani na stosowane formy przymusu administracyjnego. Rozwinęliśmy w Lubelskim przemyśle spożywczo-przetwórczym, ale nadal produkujemy w rolnictwie więcej niż przemysł ten może wytworzyć.

Ziemia — jak to ładnie powiedział Franciszek Barszcz — jest nie tylko własnością rolnika, ale przede wszystkim dobrem narodowym, które musi służyć całemu społeczeństwu. Tymczasem są jeszcze tacy rolnicy, którzy marnują ziemię, nie stosują nawozów, pracują byle jak. Dostało się i agronomom: agronom nie może pracować tylko w akcji siewnej, żniwnej czy wykopkowej, on musi być na wsi stale, na co dzień.

PIERWSZA KRAJOWA

roczna) wyniosła 2 689 zł, czyli była wyższa o 457 zł w stosunku do 1970 r. Charakterystyczne, że nastąpiło to przy stabilizacji kosztów utrzymania. Faktem jest, że w tych trzech latach produkcja rolna też nie stała w miejscu (wzrost o ponad 18 proc.), ale ciągle jeszcze musimy wiele artykułów żywnościowych sprowadzać z zagranicy. A ceny na rynkach światowych stale idą w górę.

Osiągnięcia cieszą, nie można jednak na nich zaprzestać i wpadać w nastrój euforii, zwłaszcza że zadania, które nas w najbliższych dwóch latach czekają, są trudniejsze od już wykonanych. Stąd nie tylko satysfakcja, ale i niedosyt pragnienie, by — konieczność szybkiego odrobienia wieloletnich zaniedbań, wydłużenia kroku, by dorównać do czołówek najbardziej rozwiniętych gospodarczo krajów świata.

I sekretarz KC podkreślił, że znajdujemy się obecnie na początku nowego, wyższego etapu socjalistycznego rozwoju Polski. Szczególną cechą tego etapu jest rosnąca rola intensywnych czynników postępu społeczno-ekonomicznego. Dotychczas — mimo pewnej poprawy w ostatnich latach — wciąż przeważały czynniki ekstensywne, związane ze wzrostem zatrudnienia i nakładów materialnych. Głównym zadaniem najbliższych lat jest zwiększenie wydajności pracy i przyspieszenie postępu techniczno-organizacyjnego. W centrum uwagi całego narodu staje sprawa osiągnięcia wyższej jakości i efektywności we wszystkich dziedzinach naszego działania — w kształtowaniu świadomości społecznej, w produkcji, w nauce i technice, w kształceniu. Tylko pod tym warunkiem utrzymamy wysoką dynamikę dochodu narodowego.

Fundamentalną cechą naszego ustroju jest realizacja zasad socjalistycznej sprawiedliwości społecznej. Tych zasad nie należy jednak pojmować w sposób uproszczony. Równość socjalistyczna to przede wszystkim równość szans życiowych oraz równość praw i obowiązków. Udział każdego obywatela w korzystaniu z dóbr wytwarzanych przez społeczeństwo musi być uzależniony od ilości i jakości jego własnej pracy. Temu, kto lepiej pracuje, kto zdobył wyższe kwalifikacje i więcej daje społeczeństwu — należy się większa satysfakcja moralna i materialna.

Jerzy Zasada, I sekretarz KW PZPR w Poznaniu, poniekąd nawiał od tych słów Edwarda Gierka stwierdzając, że rezerwy tkwią jeszcze w postawach i świadomości niektórych ludzi, w nie-

brze i ci, którzy pracują źle, albo czasem wcale nie pracują. I stąd wniosek: trzeba prowadzić taką politykę, żeby lepiej pracującym powodziło się lepiej; polityka płac i cen powinna to uwzględniać.

Gdy się uważnie czyta przemówienie Edwarda Gierka, widzi się, jak bilans

Są to sprawy obchodzące bezpośrednio nas wszystkich, członków partii i bezpartyjnych, dorosłych i młodzież, kobiety i mężczyzn. A prawda jest przy tym jedna: taką będziemy mieli Polskę, jaką zbudujemy. Dobrobyt kraju, dobrobyt każdego z nas zależy od sumy pracy każdego obywatela.



osiągnąć mieszczą się z bilansem potrzeb.

W latach 1971—1973 oddamy do użytku łącznie 614 tys. mieszkań, czyli o 20 tysięcy więcej niż przewidywały założenia planu pięcioletniego na ten okres. Zdawałoby się, że jest powód do radości, ale I sekretarz KC zaraz podkreśla, że te rezultaty nie mogą nas jednak zadowalać, pozostają one nadal w dysproporcji do szybko rosnących potrzeb.

Mamy wiele nowych inwestycji, ale gdybyśmy potrafili dwukrotnie skrócić cykl inwestycyjny, niemal automatycznie moglibyśmy podwoić pakiety inwestycyjne i to bez uszczerbku dla spożycia, a z wielką korzyścią dla rozwoju gospodarki.

A cykle takie można skrócić. Mówił o tym w dyskusji Adam Biały, dyrektor elektrowni „Kozieniec”, podkreślając, że w jego zakładzie już trzykrotnie skracano terminy uruchomienia kolejnych bloków energetycznych. Zdecydowały o tym dwa podstawowe czynniki: praca z ludźmi oraz doskonałe kierowanie procesami inwestycyjnymi we wszystkich stadiach budowy.

Idziemy naprzód, pewne formy się przeżywa, należy szukać nowych, bardziej odpowiednich w obecnych warunkach. Wzrasta sprawność w funkcjonowaniu państwa za sprawą lepszej realizacji zadań leżących w interesie społeczeństwa. Stąd konieczność reformy administracji. Doświadczenia funkcjonowania gmin potwierdziły słuszność i celowość rozdzielenia funkcji stanowiących od funkcji wykonawczych. Wyodrębnienie organów wykonawczych nastąpi więc również na szczeblu powiatu i województwa. Naczelnik gminy, naczelnik powiatu, wojewoda — nowe stanowiska, nowe obowiązki.

Nas, mieszkańców Lubelszczyzny, musi szczególnie interesować rozwój rolnictwa. W dyskusji plenarnej zabrał głos I sekretarz KW PZPR w Lublinie, Piotr Karpiuk, oraz Franciszek Barszcz, rolnik ze wsi Suchowola w powiecie Zamość.

W tych wystąpieniach również dały się zauważyć: satysfakcja z osiągnięć i uczucie niedosytu. Produkcja globalna rolnictwa na Lubelszczyźnie wzrosła

W wystąpieniu F. Barszcza znalazło się wiele bardzo słusznych uwag. Na przykład taki problem: wieś produkuje więcej mięsa, zboża, buraków i ziemniaków, ale jak ma to wszystko odstawić w okresie jesiennych i wiosennych słońc, kiedy wiele miejscowości pozbawionych jest w ogóle dojazdu? Owszem budujemy drogi, mamy ładne wyniki, ale sami rolnicy wszystkich dróg nie zbudują. I tu potrzebna jest większa pomoc państwa. Albo takie zagadnienie: mówi się, że na wsi jest jeszcze mało telewizorów, lodówek, pralek i innego rodzaju sprzętu. To wszystko prawda. Ale prawdą jest też, że tego, co jest, nie ma gdzie naprawić.

Edward Gierek, gdy mówił o konieczności rozszerzenia sfery usług, wyszedł naprzeciw dążeniom całego społeczeństwa.

I ostatni problem, na który warto zwrócić uwagę — kultura. Tu trzeba sięgnąć do wypowiedzi Zbigniewa Zaluskiego. Wskazał on na fakt, iż w dziedzinie kultury obracamy się na styku, właściwie w miejscu przenikania się dwóch, jeśli nie trzech płaszczyzn naszego życia — produkcji materialnej służącej zabezpieczeniu istniejących, dojrzałych potrzeb społeczeństwa, działalności ideowo-wychowawczej, służącej kształtowaniu wartości moralnych człowieka socjalizmu i twórczości kulturalnej, która z jednej strony ma tworzyć nowe wartości artystyczne, z drugiej — budzić wrażliwość i kształtować nowe potrzeby duchowe człowieka przyszłości. I co jest lepsze? Czy Teatr Ziemi Mazowieckiej z jego koncepcją dotarcia do szerokiej widowni, czy Teatr Grodzki z jego zrozumiem ledwie dla kilku tysięcy, a przecież niezaprzeczalnie tworzący nowe wartości na skalę światowej kultury? Albo inaczej: co wybrać — satyrę Teatru „Syrena” czy „Straszylisze” Macieja Zembatego, „Hubala” czy „Trzecią część nocy”? A więc — co tylko dopuszczać, a co szeroko propagować?

Zdaniem mówcy, bogate doświadczenie polityki ideowo-wychowawczej partii podsuwa nam cały szereg prawidłowych i sprawdzonych w praktyce rozstrzygnięć — polityka ta utrzymuje dotychczas dużą i dalekosiędną logikę, czystość i pryncypialność ideową o niezaprzeczalnych walorach kulturotwórczych.

Sprawa warta jest szerszych przemysleń. Zapewne będzie warto i do niej powrócić tak jak będziemy w naszych publikacjach wracać do całego wielkiego bogactwa tej Pierwszej Krajowej, stanowiącej twórcze rozwinięcie VI Zjazdu Partii. Przewodzącej siły naszego wielkiego narodu.

M. J.

W 56 ROCZNICĘ WIELKIEJ REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

Z poezji rosyjskiej

Włodzimierz Majakowski

LEWA MARSZ

Marynarzom

Rozwijajcie się w marszu!
W gadaniach robimy pauzę.
Ciszej tam, mówcy!
Dzisiaj
ma głos
towarzysz Mauzer.
Dostę już żyliśmy w glorii
praw, które dał Adam i Ewa:
zajeżdżymy kobyłę historii! —
Lewa!
Lewa!
Lewa!
Błękitnobluzi,
rwijcie
za oceany!
Zali się pancernikom na redzie
stąpiły dzioby ze stali?
Niech się brytyjski lew przeży,
niech ostrą koroną olśniewa —
komuny nikt nie zwycięży!
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Za górą kłęsk błyszczą zorze,
słoneczny kraj czeka nowy.
Za glód, za moru morze
niech zadudni nasz krok milionowy!
Choć najemna otacza nas banda,
choc nas potok stalowy zalewa.
nie zadusi Sowietów Ententa!
Lewa!
Lewa!
Lewa!
Zali wzrok orli zgaśnie?
Czyż ulegniemy w walce?!
Ciśnijcie
ściśnijcie światu na gardle
proletariatu palce!
Naprzód pierś podaj naga,
niech flaga na niebo zawiewa!
Kto tam znów rusza prawą?
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Przełożył Antoni Słonimski

Sergiusz Jesienin

LIST DO MATKI

Żyjesz jeszcze, biedna, stara matko?
I ja żyję. Pozdrowienia śię.
Niechaj sączy się nad twoją chatką
To wieczorne światło w sienie mgie.

Mnie pisano, że ukrywasz twogę,
Tęsknisz za mną, że cię trapi żal,
Że wychodzisz często znów na drogę
W swej salopie śmiesznej — patrzeć w dal.

A gdy siny mrak się na wieś kładzie,
Często widzisz, niby blisko — tuż,
Jak ktoś nagle mi w karczemnej zwadzie
Wbił po serce ostry fiński nóż.

Głupstwo, mamó! Spokój nade wszystko,
To igraszka tylko sennych mar,
Już nie takie ze mnie pijaczysko,
Bym bez ciebie gdzieś tam z dala zmarł.

Po dawnemu łaknę twej pieszczoty
I o jednym tylko marzę w snach,
By czym prędzej od tej złej tęsknoty
Znów powrócić pod nasz niski dach.

Wróć, wróć, kiedy w słońca blasku
Rozwiosenni się nasz biały sad.
Tylko ty już więcej mnie o brzasku
Nie budź tak, jak temu osiem lat.

Nie rusz tego, co się odmarzyło.
Nie budź tego, co na wieki śpi.
Zbyt mnie wczesnie życie doświadczyło
Stratą złud i nudą wszystkich dni.

I modlitwy nie ucz mnie. Bo po co?
Co odeszło, już nie wróci, nie.
Tyś jedyną łaską i pomocą,
Tyś jedyne moje światło w śnie.

Wybraliśmy te wiersze poetów rosyjskich, chcąc przyjąć z pomocą organizatorów obchodów ku czci 56 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Może skorzystają z nich młodzi recytatorzy?



Włodzimierz Ilicz Lenin przemawia w czasie oddania pomnika Marksa i Engelsa na Placu Rewolucji w Moskwie (1918 r.) (Fot. Archiwum)

Więc zapomnij już tę swoją twogę,
Przestan tęsknić, porzuć zbędny żal.
I nie wychodź tak często na drogę
W swej salopie śmiesznej — patrzeć w dal.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Sergiusz Gorodecki

POLSKA

Siostra nieznaną, ale bliską!
Dawno już ciebie pokochałem,
Rozwidnia polskie płomienisko
Rówieśnią luną Zachód cały.

Już zniża słowiańskiego blaski
— Ledwie zakwitłe — świat olśniły,
Już słychać w głębi ciszy słowiańskich,
Jak wzbiera wrzenie przyszłej siły.
Gdzie poryw górny — tam jest Polak,
Gdzie nurt głęboki — tam Rosjanin.
Lecz im jednaka w dziejach dola:
Gromowym łamać mrak lyskaniem!

O strzalo Słowian! Polska! Siostra!
— Oto już widzę łuk napięty
Kołczan, pocisków pełen ostrych,
I ramie w gniewie wyciągnięte!
O Polsko! Jakże mi jest bliski
Zarliwy ogień twoich marzeń
I wierność losom twym ognistym,
Co zginąć — lub zwyciężyć każe.

Przełożył Jerzy Pomianowski

Stiepan Szezipaczow

Najdroższa moja, najlepsza, jedyna,
Przestrzeń doleka nas w tej chwili dzieł.
Na fotografię patrzę i wspomniam:
Przed samą wojną-śmy się razem zdjęli.

Nasz piękny język bardzo jest bogaty,
Są słowa, które w bój żołnierzy wiedzą,
Słowa, z którymi ściskając granaty
Idą zwyciężać, idą umrzeć młodo.

Lecz chociaż wojna huczy nad głowami,
Nie oduczyła nas jednak i ona
Zachować w sercu z wielkimi słowami
Zwyczajne naszych najdroższych imiona.
1942

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Eugeniusz Dołmatowski

Od jednego pocisku wybuchu
Dwaj żołnierze upadli bez ruchu.
Ten ma buty, tamten owijaki,
Na pilotkach dwie różne odznaki.

Choć różnego kraju są szyniele,
Krew jednako im splywa po ciele.
O ostatnich ludzkich spraw bezliku
Každy mówi, lecz w innym języku.

Ale źródła ich słów są podobne,
Tak okrutne teraz, tak żalobne.
Dla jednego ziemia ta jest bliska,
Drugi wsłuchał się w jęki wicherzyska —
Zanim serce na zawsze się ściszy,
Może z wschodu głos czuły usłyszy.

Dwaj podobni i różni żołnierze
O zbiegłych wargach obok leżą

A na ziemi tak ostro się znaczą
Automaty w ich rękach bliźniacze.

W bój pędziła ich wspólna nienawiść,
Wspólny wróg ich tu życia pozbawił.

Poprzez ogień i śmierć żywi niosą
Znak przyjaźni wspólnej Polski z Rosją.

Eugeniusz Jewtuszenko

Zawsze się znajdzie gdzieś kobieca ręka
po to, by wtedy, kiedy cię coś nęka
chłodna i trochę kochająca ciebie,
jak bratu mogła nieść ulgę w potrzebie.

Zawsze się znajdzie gdzieś kobiece ramie,
byś lgnąc do niego tchnącymi ustami,
z głową niesforną w tym ciepłym ukojnym
powierzył jemu swój sen niespokojny.

Zawsze się znajdują gdzieś kobiece oczy,
oby twe troski i cierpienia odczuć
i gdy nie całkiem, to choć ulżyć w części,
i oby dać ci odrobinę szczęścia.

Ale i taka jest kobieca ręka,
szczególnie słodka dla ciebie i święta,
co kiedy dotknie zmęczonego czoła,
to jakbyś los swój i wieczność przywołał.

Ale i takie jest kobiece ramie,
co — nie wiesz za co — przy tobie zostanie
nie na noc jedną, lecz na wieki całej
i dawno, dawno już to rozumiałeś.

Ale i takie są kobiece oczy,
których spojrzenie zawsze smutek mroczy,
i to do końca są twego istnienia
oczy miłości twojej i sumienia.

A ty nie żyjesz z samym sobą w zgodzie
i mało ci tej ręki tylko co dzień,
ramienia tego i tych oczu jasnych...
Zdradziłeś je tylekroć z woli własnej.

I oto odwet przychodzi! nareszcie.
„Zdrójca!” to słowo wali ciebie deszczem,
„Zdrójca!” galezie bija cię po twarzy.
„Zdrójca!” — ten wyraz w lesie wiatr powtarza.

Miotasz się, smucisz i męczysz w rozpacz,
i sam już tego sobie nie przebacysz,
i właśnie tylko ta słabiutka ręka
przebaczy, chociaż krzywdą była wielka.

I właśnie tylko ta zmęczone ramie
przebaczyć dziś i jutro ci jest w stanie,
i tylko oczy te smutnie bezbrzeżnie
przebaczą, choć przebaczyć nie należy.
1962

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

PROF. DR HAB. B. SEMCZUK

REKTOR Akademii Medycznej w Lublinie i kierownik Kliniki Otolaryngologicznej, prof. dr hab. Bolesław Semczuk, otrzymał nagrodę Ministra Zdrowia I stopnia.

— Na czym polega wartość naukowa nagrodzonej pracy — pytam laureata.

— Jest mi bardzo przyjemnie, że kieruję zespołem zdolnych, młodych, a jednocześnie doświadczonych klinicyistów Panująca u nas atmosfera twórczej pracy naukowej jest zasługą całego zespołu. Tak się stało, że autorem 11 nagrodzonych prac byłam właśnie ja, mam nadzieję, że w przyszłości nagrodę otrzyma cały zespół.

ki specjalistycznej nad ludnością. Udało nam się zdobyć unikalną aparaturę, dzięki czemu byliśmy pierwszymi w Polsce, którzy mogli wprowadzić do pracy w klinice mikrolaryngoskopię i mikrochirurgię krtani.

Dalszy cykl prac w naszej Klinice dotyczył pewnych modyfikacji i pewnego novum w leczeniu operacyjnym. Jest rzeczą znaną, że usunięcie krtani wraz z całym nowotworem doprowadza do różnych powikłań pooperacyjnych. Wprowadzenie nowej metody praktycznie zlikwidowało przetoki ślinowe pooperacyjne. W klinice lubelskiej od trzech lat zapomnieliśmy, jak one wyglądają. Wprowadzenie wymienników ciepła i wilgotności, tzw. popularnie sztucznego nosa, praktycznie zlikwidowało zapalenia płuc i oskrzeli. Rehabilitacja mowy przedtem wymagała wielomiesięcznej pracy nad pacjentem, teraz po 2—3 posiedzeniach, a nawet i bez tego zaczyna on mówić wychodząc z kliniki, a po kilku miesiącach mówi już względnie dobrze.

— Czy ta aparatura, o której Pan Profesor mówił, jest produkcji polskiej czy zagranicznej? Jak ją zdobyto?

— Pierwszą aparaturę sprowadziliśmy z zagranicy przy pomocy Min. Zdrowia, ale prawdę powiedziawszy trzeba było długo przekonywać niektórych ludzi o konieczności jej zakupu. Prototyp sztucznego nosa przywiózł od prof. Kocho z Lund w Szwecji. Niestety, sprowadzenie dalszych egzemplarzy normalną drogą dewizową to półtora lub dwa lata. W tej sytuacji WSK w Świdniku wykonała nam 20 takich sztucznych nosów o najwyższym standardzie światowym, nawet z pewnymi ulepszeniami. Podobnie było ze sztucznymi przelykami, które muszą być wykonane z gumy o specjalnej konsystencji i apyrogennej, aby nie powodowała ona w ustroju człowieka zmian nekrotycznych lub gorączki. To również wykonano nam w świdnickiej WSK. Na ucho mogę powiedzieć, że był to dla nas bardzo cenny prezent, bo według przepisów my nie mogliśmy za to fabryce zapłacić, ona nie mogła wziąć pieniędzy.

— Chciałbym poprosić o kilka szczegółów na temat tej metody.

— Mikrolaryngoskopia jest oglądaniem pod mikroskopem poszczególnych fragmentów błony śluzowej krtani i strun głosowych. W ten sposób można w sposób zasadniczy odróżnić zmiany patologiczne od zmian fizjologicznych, normalnych. Mikroskop pozwala na bardzo wczesne uchwycenie raka krtani, raka przedinwazyjnego, co ma zasadnicze znaczenie dla leczenia pacjenta, im wcześniej bowiem rozpozna się zmiany neoplazmatyczne w krtani, tym większe są możliwości wyleczenia.

— My tu mówimy o raku krtani, a obydwa równocześnie palimy papierosy. Czy Pan Profesor zagląda do swojego gardła?

— Zaglądam. No cóż — gardło palacza. Człowiek ma jednak słabą wolę i ulega nalogowi. Prawda jest że przede wszystkim papierosy są odpowiedzialne za taką ilość raka krtani, jaką obecnie spotykamy. Ale epidemiologia raka wcale nie jest taka prosta. Według naszych obserwacji u ludzi pracujących w rolnictwie lub w ogóle na świeżym powietrzu przypadki raka wcale nie są rzadsze niż u tych, którzy pracują w przemyśle. Około 90 proc. operowanych u nas to nalogowi palacze, spalający około 40 papierosów dziennie.

— Klinika przeprowadzała badania w cementowniach chełmskich, blisko współpracuje z FSC. Tymczasem w Zakładach Azotowych w Puławach ludzie wdychają dużo azotu. Rośliny na tym cierpią, a ludzie?

— W tamtejszej przychodni zakładowej pracuje wyszkolony przez nas specjalista i prowadzi obserwacje w tej sprawie. Ale tam trzeba by prowadzić dokładne badania przez kilka lat. Na zeszłorocznej inauguracji roku akademickiego zwróciłem się do wicedyrektora Zakładów z prośbą o współpracę. Do dzisiaj, niestety, nie otrzymałem odpowiedzi. Może ten apel w druku pomoże?

— A teraz pytanie do rektora Akademii. W związku z objęciem ubezpieczeniem mieszkańców wsi wylania się zapewne pilna potrzeba wykształcenia większej liczby lekarzy?

— Ubezpieczenie objęło na Lubelszczyźnie około 600 tys. ludzi i służba zdrowia zdała ten trudny egzamin. W szpitalach i klinikach zintensyfikowaliśmy leczenie, zwiększyliśmy opiekę ambulatoryjną itd. Od dwóch lat do Akademii przyjmujemy po 400 studentów, dwa razy więcej niż poprzednio. Ale istnieje pilna potrzeba rozbudowy uczelni, przede wszystkim drugiego zespołu klinik oraz Instytutu pediatrii. Choć lubelska Akademia jest jedyną w kraju, która posiada cztery wydziały: lekarski, farmaceutyczny z czterema specjalnościami, pielęgnarski oraz oddział stomatologiczny.

Rozmawiał: jod



Cykl tych 11 prac traktuje o nowych metodach diagnostycznych i operacyjnych w otolaryngologii, a dotyczy głównie schorzeń błony śluzowej krtani — ze szczególnym uwzględnieniem raka tego narządu. Od 10 lat Klinika nasza współpracuje z wieloma ośrodkami zagranicznymi, że wymienię kliniki prof. Surjana w Budapeszcie, prof. Messerklingera w Grazu, prof. Gerhardta w Berlinie i prof. Timma w Lubce. Cykl owych 11 prac omawia zagadnienie wdrażania nowych metod diagnostycznych, co ma zasadnicze znaczenie w poświadczeniu jakości opie-

Kongres filozofów

DOKŁADNIE 1026 referatów, różnej zresztą długości, nadesłano z całego świata na XV Światowy Kongres Filozoficzny, który odbył się w Warnie w dniach 17—22 września. Tematyka obrad, ważna i atrakcyjna, koncentrowała się wokół różnorodnych aspektów trójczłonowego układu: Nauka — Technika — Człowiek. Bliższe pojęcie o sposobach podejścia do tego niezwykle szerokiego problemu może dać przytoczenie tematyki posiedzeń poszczególnych zespołów, na jakie podzielili się uczestnicy po dwóch dniach obrad plenarnych. Oto ona:

„Rozum, działanie i praktyka w przekształcaniu świata”, „Filozofia w procesie naukowo-technicznej rewolucji”, „Poznanie i wartości w erze naukowo-technicznej”, „Struktura i metody współczesnego naukowego poznania”, „Człowiek — nauka — technika” (próba marksistowskiej analizy rewolucji naukowo-technicznej), „Technika, pokój i współczesny marksizm”. Ponadto było wiele spotkań w ramach tzw. grup badawczych, w których referowano wyniki badań specjalistycznych, m. in.: „Problemy współczesnej logiki”, „Lingwistyka i antropologia”, „Filozoficzne aspekty

psychologii”, „Filozofia kształcenia i wychowania”.

Okazji do wymiany poglądów było więc wiele — od oficjalnych przemówień, poprzez dyskusje w gronach specjalistów aż po zupełnie prywatne rozmowy przy kawie. Wprawdzie spis uczestników wymieniał „tylko” 1877 nazwisk, ale okazało się podczas otwarcia Kongresu, że obliczona na 3000 osób sala wypełniona była po brzegi. Oprócz delegatów 52 krajów przybyło bowiem mnóstwo gości: dziennikarzy, studentów, ludzi nauki.

Dowodzi to chyba, że od współczesnego filozofa wymaga się umiejętności szybkiego reagowania na przemiany otaczającego świata i mądrego ingerowania w te przemiany. W epoce gwałtownych i radykalnych przekształceń wszystkich niemal dziedzin ludzkiego życia filozofia, nauka o najwyższym przeciwieństwie abstrakcji, ma stać się na powrót bliska i potrzebna zwykłym człowiekowi. Istotnie, Kongres wykazał gotowość angażowania się filozofii w ochronę środowiska naturalnego i zdrowia człowieka, walkę z niebezpieczeństwem „alienacji” techniki, utrzymanie pokoju i ukazanie perspektyw porozumienia między narodami. Podejmowano także problemy ustrojowe, których rozstrzygnięcie jest dzisiaj równie ważne, jak rozwiązywanie kłopotów związanych z rewolucją naukowo-techniczną.

Trudno mówić już teraz o jednoznacznej ocenie dorobku warnieńskiego spotkania. Trudno ogarnąć całokształt zarówno dlatego, że nie zdążyły się ukazać drukiem wszystkie materiały (wydano dopiero dwa tomy, a cztery dalsze są w przygotowaniu), jak też z tego względu, że konsekwencje Kongresu jeszcze się tworzą i rozwijają poprzez dyskusje inicjowane przez uczestników we własnych środowiskach.

Grupa polska na Kongresie należała do najliczniejszych. Oprócz 68 delegatów z ramienia Komitetu Nauk Filozoficznych, znalazły się w niej dwie grupy „nieformalne” — pracowników Instytutu Filozofii z Uniwersytetu Warszawskiego i UMCS (w sumie — ponad 100 osób). Zorganizowanie wyjazdu tej ostatniej grupy, możliwe dzięki zrozumieniu i pomocy ze strony władz uczelni, pozwoliło na wzięcie udziału w tym ważnym wydarzeniu naukowym także najmłodszym pracownikom naszego środowiska filozoficznego.

Wkład delegacji polskiej w prace Kongresu wyrażał się w różnych formach. Polscy filozofowie wygłosili około 30 referatów, których ogólny poziom został wysoko oceniony m. in. w 6 numerze kongresowego biuletynu. Środowisko lubelskie reprezentowane było przez następujące wystąpienia pracowników Instytutu Filozofii UMCS: prof. dr. Narcyza Lubnickiego: „Pradialektyka filozofii bergsonowskiej”, prof. dr. Zdzisława Cackowskiego: „Eksterioryzacja człowieka jako droga autokreacji i środek samopoznania”, doc. Leona Koja: „Nowy psychologizm w logice” oraz doc. dr. Bohdana Dziemidoka: „Główne problemy teorii postawy estetycznej”.

Dużą frekwencją i zainteresowaniem cieszyła się zorganizowana przez Pola-

ków konferencja okrągłego stołu, poświęcona problemowi „filozofii i pokoju”, a kierowana przez dyrektora Instytutu Spraw Międzynarodowych, Mariana Dobrosielskiego. Zorganizowana podczas jednego wolnego popołudnia konferencja zgromadziła tylu słuchaczy, że nie mieścili się w sali, a temperatura wystąpienia i głosów w dyskusji była niezwykle wysoka.

Atrakcyjnie prezentowały się polskie wydawnictwa na wystawie książki filozoficznej. Szczególnym zainteresowaniem cieszyła się angielska edycja „Historii estetyki” Władysława Tatarkiewicza oraz bibliofilskie wydanie dzieł Kopernika.

Światowy Kongres Filozoficzny, po raz pierwszy zorganizowany na terenie państwa socjalistycznego, miał wyraźny profil ideologiczny. Filozofowie zarówno krajów socjalistycznych jak i kapitalistycznych nie stronili od podejmowania najtrudniejszych i często kontrowersyjnych problemów współczesności. Pomimo trudności z osiągnięciem pełnego porozumienia można było zaobserwować optymistyczne zjawisko znikania przepaści pomiędzy poszczególnymi kierunkami filozoficznymi. Spotkanie w Warnie wykazało, że taka próba może być owocna. Okazało się też, że funkcję wspólnego języka dla współczesnych filozofów może z powodzeniem spełnić język filozofii marksistowskiej. Był on językiem przybliżającym większości mówców, w tym także znacznej części filozofów zachodnich.

Sądzę, że bez przesady można to uznać za wielki sukces organizatorów i uczestników Kongresu.

J. M.



blinie, przeczytał w „Kurierze” odpowiedni anons, zgłosił się, no i do dziś kieruje zakładem. Na czwarty czy piąty dzień po objęciu funkcji, pod dyktando barak podjechała dorożka z trzema metrowej objętości workami, przesyłanymi z urzędu zatrudnienia, które zawierały podania o przyjęcie do pracy...

Oddanie się wspomnieniom posiada sens pozaokazjonalny, albowiem dziś Lukowskie Zakłady Obuwnicze cierpią na brak pracowników, natychmiast mogą zatrudnić 320 osób. W tej chwili fabryczne taśmy obsługują ponad 2600 ludzi, z czego 75 procent to kobiety; filia bychawska — 5 tysięcy par obuwia, tekstylnego dziennie — skupia 230 pracowników stałych plus 250 chatupników. W samym Lukowie nie ma już zbędnych rąk do pracy. Jedyna nadzieja w okolicznych wsiach: w każdej z 240, rozsianskich w obrębie powiatu, znajduje się kilka osób, których związek z uprawą roli jest bardzo luźny — one właśnie są potencjalną rezerwą zakładu. Kłopot w tym, że możliwości przewozowe PKS są bardzo ograniczone, siedem aktualnych „tras pracowniczych”, nierzadko o długości 40 km, wystarczająco obciąża przedsiębiorstwo komunikacyjne. Na miejscu brak hoteli robotniczych, a na mieszkaniu w spółdzielni czeka się pięć lat, czego nie jest w stanie skrócić finansowa pomoc zakładu, udzielana każdemu pracownikowi, który o nią występuje. Szereg posunięć organizacyjnych — powiększenie szkoły przyzakładowej, utworzenie hufca pra-

na klauzula, dołączona do kontraktu. Liniję mają obsługiwać najlepsi, najbardziej sprawni fizycznie robotnicy, co im się też opłaci, jako że zarobki na tym stanowisku będą zapewne wyższe o 35—40 procent w stosunku do innych warsztatów... Wzmocnienie lukowskiego parku maszynowego zbiegło się z przejściem zakładu z przemysłu terenowego do zjednoczenia, które nastąpiło 1 stycznia tego roku.

Technika wpływa na jakość obuwia, lecz jest tylko jednym z elementów sprawy. Okazuje się bowiem, że Anglię, eksportującą nowoczesne maszyny obuwnicze, na własnym terenie korzystają często z urządzeń starawych, co im wcale nie przeszkadza w produkowaniu butów nieco lepszych od naszych. — Więc o co chodzi? Między innymi chodzi o surowiec. Ten, którym dysponują nasze fabryki, jest nieco gorszy. Jeśli więc np. Lukowskim Zakładom Obuwniczym udało się wejść na rynek bardzo wymagającej klienteli węgierskiej, szwedzkiej, kanadyjskiej i francuskiej, jeśli w obrębie eksportu fabryki znajduje się kilka innych krajów, zakład zawdzięcza to przede wszystkim wyjątkowo sprawną organizację produkcji, rzetelną kontrolę wewnętrzną, kwalifikacjom robotników oraz oryginalnym pomysłem stylistyczno-funkcjonalnym, autoryzowanym przez własnych konstruktorów i — właściwie od niedawna — plastyków. Tak jednak czy inaczej, unowocześnienie parku maszynowego nie pozostanie bez wpływu na

butów, egzekwując zarazem kary umowne. Stąd właśnie brak na rynku odpowiednio szerokiego wachlarza nowych wzorów obuwia: konstruktorzy stronią od projektowania odważniejszych modeli, bardziej skomplikowanych i interesujących stylistycznie, trudniejszych w produkcji. Skrzywienie linii jednego szwu w oczach handlu dyskwalifikuje całą serię. Przemysł proponuje: przekazać w nasze ręce sprawę reklamacji, niech ludzie do nas bezpośrednio kierują pretensje, umożliwi to nam lepszą orientację w standardzie produkowanego obuwia i pozwoli na uniknięcie zbędnych korowodów i strat materialnych. Kilka lat temu Luków chciał zresztą udzielić półrocznej gwarancji na niektóre swoje wyroby, lecz resort handlu nie wyraził zgody na takie „dziwne” rozwiązanie.

W tej chwili produkujemy w Polsce całkiem przystojne i modne buty, niektóre z modeli kopiowane są przez firmy zachodnie, które zresztą dostarczają inspiracji naszym projektantom — jest to jednak naturalna dziś w świecie wymiana informacji. W komórcie wzorującej Lukowskich Zakładów Obuwniczych, kierowanej przez Józefa Lipca, fachowca o niebywałym doświadczeniu, można zapoznać się z następującymi zurnalami: włoskimi „Ars sutoria” i „Jolly” angielskim „Footwear” i zachodniemieckim „Schuh-kurier”. Warto też wiedzieć, że zanim konkretny wzór znajdzie się na półce sklepowej, przechodzi przez krytyczne oceny i czule ręce kilkunastu komisji... A istniejące kłopoty ze znalezieniem ładnej i wygodnej pary obuwia mają podłoże organizacyjne. Co jednak niczego nie usprawiedliwia w oczach konsumenta, zwykłego amatora dobrych kamaszów.

BUTY są czy nie?

Franciszek J. Kozłowski

POLSKIE buty oferowane na Targach Poznańskich są modne, a więc ładne, zalecają się solidnym wykonaniem i znośną ceną. Ciesząc oko widza, nie sprzyjają jednak stopie, albowiem po opuszczeniu targowej ekspozycji nikną gdzieś w sposób całkiem tajemniczy i ich odszukanie następcza sporo kłopotów. Równocześnie wiadomo, że w magazynach spoczywa aktualnie bodaj 10 milionów par obuwia, które nie znalazły nabywcy i są tzw. wyrzutem sumienia handlu i przemysłu. Co prawda niektórzy ludzie z branży twierdzą, uśmiechając się dwuznacznie, że i ta masa towarowa trafi w końcu na polską nogę, lecz są to przepowiednie oparte na smętnych przesłankach, aczkolwiek nie pozbawione racjonalnego jądra. Załóżmy jednak, że wdepniemy w owe „remanenty”. I co wówczas? Niewątpliwie nastąpi fala narzekania na jakość i wygodę krajowego obuwia, odpięra na przez przemysł stwierdzeniem, że użytkownicy nie potrafią po prostu eksploatować trzewików. W czasach wąskich specjalizacji także i chodzenie w bucie wymaga odpowiednich kwalifikacji, może nawet doktorskich.

Po tych wszystkich złośliwościach wypada przecież powiedzieć, że tak mniej więcej od trzech lat jakość i wygląd naszych butów zaczynają spełniać społeczne oczekiwania, a wszystkie wspomniane kłopoty nie posiadają już tego wymiaru i ostrości, co niegdyś. Niemniej istnieją. Dlaczego? Po wiedzy o podłożu polskiej sprawy obuwniczej udaliśmy się do Lukowskich Zakładów Obuwniczych, które swego czasu zrobiły furorę drewniakami o nazwie „Lukowianki” — milion par rocznie — a dziś znajdują się w fazie intensywnego rozwoju, stymulowanego przez utrzymującą się koniunkturę na wyroby tej znanej i wielokrotnie wyróżnianej znakami jakości, medalami i dobrym słowem odbiorców fabryki. Liczy ona sobie tylko lat piętnaście i powstała na terenie całkowicie pozbawionym tradycji przemysłowej, czego w żadnym wypadku nie mógł zrekomensować trzynastowieczny rodowód Lukowa.

Początki zakładu sięgają jesieni 1958 roku, kiedy to największym „kombinatem” przemysłowym Lukowa była cegielnia, zatrudniająca kilkanaście osób, a po ulicach miasta chodziło tysiąc obywateli dobijających się o pracę. Ten tydzień okazał się pierwszą klientelą inżyniera Jeremiasza Kostlika, który wygrał właśnie konkursowe boje o stanowisko dyrektora powstającej fabryki. Przypadkowo bawiąc w Lu-

cy — oraz celowe przyhamowanie dalszych inwestycji przemysłowych na tym terenie polepszą niewątpliwie sytuację kadrową zakładu, czego życzymy my wszyscy, paradujący w butach marki „Luków”, których w pierwszym okresie istnienia fabryki nikt nie chciał kupować, jako że były to produkty niskiej jakości. Brakowało wówczas fachowców, robotnicy dopiero przyzwyczajali się do pracy przy taśmie, w pomieszczeniach panowała niebywała ciasnota. O dzisiejszej załodze Lukowskich Zakładów Obuwniczych można powiedzieć, że zna się na rzeczy, posiada odpowiednie doświadczenie. O tych momentach warto pamiętać w ocenie butów produkowanych przez młody i wielki zakład w Chelmie Lubelskim. Najlepsze maszyny nie zastąpią ludzkich kwalifikacji, najlepsza szkoła nie zastąpi doświadczenia.

Ale bez nowoczesnych maszyn także kłopot i ludzkie narzekania na jakość i estetykę obuwia oraz jego niedostępność w handlu. Do niedawna park maszynowy LZO reprezentował przeciętny poziom, podobnie jak i urządzenia innych zakładów przemysłu terenowego w kraju. Obecnie zakład przechodzi generalną modernizację i poważną rozbudowę, czemu towarzyszy taki nawal pracy, że trudno znaleźć czas na organizację jakiegokolwiek uroczystości, akcentującej piętnastoletnie firmy. Z tej okazji zafundowano sobie jednak w Lukowie imponujący neon; nie zwrócić nań uwagi pozytywnie jest za nietakt grubego kalibru...

Ze 156 milionów złotych, przeznaczonych na inwestycje w latach 1973—1974, aż 130 przeznaczają się na zakup nowoczesnych maszyn i urządzeń. Tak zatem sprowadza się wtryskarkę angielską do podszew poliuretanowych, która pozwoli na wyprodukowanie niemal miliona par obuwia na tym tworzywie, bardzo elastycznym, stosowanym przez najmodniejsze firmy zachodnie. Z Niemieckiej Republiki Federalnej zwozi się transporter i wyposażenie taśmy szwalniczej, która niby to standardowa, ale posiada przecież niespotykaną u nas „umiejętność” obcinania nitki po uszyciu cholewki. Dotychczas nitkę taką obcinało nożyczkami kilka pań, nie zawsze czyniąc to dokładnie, co miało prawo irytować nabywcę trzewików... Kompletną linię montażową sprowadza się z Anglii, zakładając pobiebie przy jej pomocy krajowego rekordu wydajności na jedną zmianę, który w tej chwili nie przekracza 1100 par obuwia Luków zamierza produkować 1500 par, o czym mówi specjal-

jakość lukowskiego obuwia, nie mówiąc już o wielkości produkcji.

Obecnie Luków produkuje około 3 miliony par obuwia rocznie: męskiego, młodzieżowego i dziecięcego, aczkolwiek kobiet także nie zaniedbuje, przymierzając się do wyprodukowania 40 tysięcy par butów zbliżonych do słynnych drewniaków, zakontraktowanych już zresztą przez handel. Istotne: w magazynach LZO nie ma ani jednej pary butów, zakład sprzedaje wszystko, co wyprodukuje! Gdzie zatem są lukowskie cuda, męskie półbuty z florentików, nappy, softy, zgodne ze światową linią, utrzymane w modnych kolorach brązu, beżu? Są w sklepach: trzy dni, tydzień. Są dostępne: po wielogodzinnych wędrówkach w obrębie miasta, albo w ramach wyprawy do stolicy. Dlaczego tyle niepewności i korowodów towarzyszy owym poszukiwaniom?

Przemysł obuwniczy w Polsce profiluje kształt i wielkość swojej produkcji zgodnie z zamówieniami handlu, jego własne wycieczki sytuacji rynkowej nie wchodzi w zasadzie w rachubę. Taki jest system. W rezultacie dochodzi do takich sytuacji: na trzeci kwartał tego roku handel zakontraktował w LZO krótkie serie — od 9 do 15 tysięcy — par półbutów z modnych florentików, czyli skór o dyskretnie różnicowanej kolorystyce. Zakład namawiał handlowców do zwiększenia zamówień, albowiem tak krótkie serie są ekonomicznie kłopotliwe, ograniczają się do czterech i pół dnia produkcji, a wprowadzenie nowego wzoru do produkcji wymaga półtora dnia przygotowań, czyli równa się „ucieczce” 3 tysięcy par butów. Mimo że handel wycenił trzewiki dość wysoko, bo na 330 zł, zniknęły one błyskawicznie ze sklepów, a liczni dyrektorzy przedsiębiorstw prosili telefonicznie dyrekcję o dostarczenie choćby kilku jeszcze tysięcy. Oczywiście, oczekiwania te nie mogły być spełnione, bo kontrakt opiewał na ściśle określoną liczbę. Może więc sugestia, wysuwane przez ludzi z branży obuwniczej, aby przemysł odpowiadał również za zapotrzebowanie rynku, może takie rozwiązanie polepszyłyby sytuację? Ale czy po tej reformie przemysł nie zarcuciłby rynku długimi, z jego punktu widzenia najbardziej ekonomicznymi seriami, mundurując niejako nasze stopy? Zastanowienia wymaga również obowiązujący system odbioru produktu przez handel. W wypadku, kiedy tzw. próbka reprezentacyjna, obejmująca ulamkową część serii, uświadnia braki jakościowe, handel odsyła producentowi całą partię



Z włóczegi po Europie (1)

BERCHTESGADEN

Krzysztof Janowicz

BYWALI w średniowieczu tacy duchowni, którzy częściej wymachiwali mieczem niż kropidłem. Biskupi, którzy rządili małym, zagubionym w Alpach quasi-suwerennym krainką Berchtesgaden, należeli do groźnych zabijaków. Z przeciwnikami nie patyczkowali się, poddanych trzymali krótko i robili dług. Doszło do tego, iż wierzyciele zdołali spowodować zajęcie kopalni soli, które stanowiły podstawowe bogactwo Berchtesgadenu. Minęły jednak pełne niespokojnej chwały dni awanturniczych biskupów. Miejsca przypadła Austrii, a krótko potem przyłączono ją do Bawarii. Do dzisiaj zresztą granica między tymi krajami przypada tuż, tuż.

Później przez długie lata nic się nie działo. Górnicy nadal wydobywali sól, pasterze wypędzali bydło na soczyste, alpejskie łąki, chłopcy uprawiali zboże tam, gdzie się dało uprawiać. Na ogół wszelako było nudno i smutno, mimo urzekające piękne pejzaży. Dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia zaczęto dostrzegać ten pejzaż. W Berchtesgadenu domy rosły jak grzyby po deszczu. Pojawili się pierwsi kuracjusze i pierwsze cepry zaczęły spadać z groźnych, skalistych szczytów. Ponieważ przepaście — o czym będzie mowa — sięgają i tysiąca metrów, upadki te rzadko kiedy kończyły się szczęśliwie. Mimo to biznes rozkwitał i w latach trzydziestych Berchtesgaden i okolice (przede wszystkim Obersalzberg) zaliczały się do najmodniejszych kurortów, nie tylko w Niemczech.

TWIERDZA, KTÓRA NIE STAŁA SIĘ TWIERDZĄ

Pod koniec lat trzydziestych nowi goście zawitali do tego uroczego zakątka. Poprzedziły ich przybycie prace, których wartość sięgała — według niepełnych i bardzo prowizorycznych obliczeń (bliższe zainteresowanie tymi kosztami mogło się okazać nader niezdrowe) — grubo ponad miliard przedwojennych marek. Budowano drogi w najbardziej nieprawdopodobnych i trudnych warunkach. Budowano luksusowe rezydencje, pomieszczenia dla służby i wartowników, budynki teatralne, kina itd. itp. Na Obersalzbergu spoczęło bowiem laskawie oko Führera i tu postanowił on uwić orle gniazdo. Za wodzem pośpieszył palatyn i każdy z nich musiał sobie zafundować rezydencję, która nie przyniosłaby mu wstydu. O mentalności brunatnych banów i ich wspaniałym poczuciu realizmu może świadczyć fakt, że jeszcze w lecie 1944 rozpoczęto szeroko zakrojone prace nad rozbudową Obersalzbergu, a z początkiem 1945 roku zatwierdzono plany dalszych inwestycji...

Sam Hitler chętnie przyjmował zagranicznych kontrahentów w Obersalzbergu. Imponujące entourage, ośnieżone przez większą część roku skaliste szczyty alpejskie, piętrosze się groźnie a dumnie nad doliną, powinny były działać przytłaczająco na rozmówców. I przeważnie działały. Pod koniec wojny roły się Hitlerowi plany, aby założyć tu niezdobytą twierdzę alpejską i przez długie miesiące odpiierać z garstką wiernych ataków alianckich. Błyskawiczny rozwój wydarzeń, a w pewnej mierze zabobonne usposobienie Führera, odwiodły go od realizacji tych planów, w wyniku czego rozstał się w sposób gwałtowny z tym światem nie u podnóża Alp, lecz w zrujnowanej Kancelarii Rzeszy.

Ze wszystkich tych pompatycznych rezydencji nie pozostało dziś — w da-

wnej postaci — ani śladu. W kwietniu 1945, po dwóch zmasowanych atakach lotniczych, Obersalzberg zamienił się w dymiące zgłiszczyska. 4 ma'a oddziały SS oblały benzyną rezydencję Hitlera — Berghof — i podpaliły ją. To, co zostało, wysadzono w powietrze 7 lat później.

CENA STRACHU

Anno 1973 nie ma w Obersalzbergu, ani w Berchtesgadenu, śladów zniszczenia. Domy odbudowano, bądź na ich miejscu wzniesiono nowe. Powstały nowe pensjonaty, wille, gospody, hotele. Ulice wypełnia różnorodny tłum, a kłopoty z zaparkowaniem samochodu są takie same, jak w największych miastach.

Decydujemy się na wycieczkę na Kehlstein, do tzw. „Teehaus” (czyli „Herbaciarni”). Decydujemy się nie wiedząc, co nas czeka. Już sam początek drogi dostarcza sporo emocji. Nachylenie szosy sięga 30 stopni. Można jechać tylko na pierwszym biegu, rozważając przez cały czas wesoły problem, co się stanie, jeśli silnik zgaśnie, albo dalej nie wyciągnie? W pogodnym nastroju, lubo o miękkiach nieco kolanach, docieramy do „stacji przesiadkowej”. Stamtąd nie można już jechać przy pomocy własnego środka lokomocji. Komunikację utrzymują żółte (pocztowe) autobusy — Mercedesy, w których służbę pełnią specjalnie wyszkoleni kierowcy. Co pół godziny podnosi się szlabanik i kolejny autobus rusza w drogę.

Była to jazda, której nigdy się nie zapomni. Przez długi czas będzie podstawa trzęsła śnów koszmarnych, z których człowiek budzi się obłąkany zimnym potem i z okrzykiem „mamo!” na ustach.

Wyobraźcie sobie bardzo wąską szosę, wznoszącą się — zdawałoby się pionowo — w górę. Po jednej stronie skały, po drugiej przepaść o głębokości, dochodzącej do 1000 m. Przepaści nie oddziela od szosy żadna bariera. Co kilkadziesiąt metrów ustawiono białą pomalowaną słupkę, na którym nawet rower by się nie zatrzymał. Interesującej całości dopełniają niezliczone zakręty (szosa składa się — inaczej być nie może — wyłącznie z serpentyn) oraz ociekające wodą tunele. Zeby było śmieszniej, niektóre odcinki drogi spowijała gęsta mgła.

Na całej trasie jest jedna „mijanka”. W tym miejscu szosa jest dwukrotnie szersza, tak że autobusy jadące z góry mogą się mijać z autobusami jadącymi pod górę. Jeśli ktoś widział przed laty znany francuski film „Cena strachu”, może mieć blade pojęcie o tym, jak się jedzie do „Herbaciarni”. Tyle, że bez ładunku nitrogliceryny. Ale i tak wystarczy...

Koniec drogi autobusowej nie jest końcem drogi w ogóle. Trzeba jeszcze wykupić bilet do windy, przy której pomocy pokonuje się ostatnie 120 metrów. Winda jest ogromna, z lustrami i brązami, ale mimo jej ogromu trzeba się długo wstać w kolejce, nim się do niej dostanie. Jazda w górę odbywa się błyskawicznie i oto już Kehlstein, a na nim „Teehaus”. Poza tym, że stoi na

wysokości blisko 2 tys. metrów, nie ma w nim niczego osobliwego. Jak tam było ongiś, trudno się zorientować. Dzisiaj punktem centralnym jest wielka restauracja. W czasie pogody stoliki stoją też na tarasie.

Hitler odwiedził tę „Herbaciarnię” zaledwie kilka razy. Natomiast jego palatyn, a wśród nich również adiutant Fegelein (generał SS, który tuż przed końcem wojny został rozstrzelany na osobisty rozkaz Hitlera za dezercję), urządził w „Teehaus” wystawne przyjęcie. Ślub Fegeleina z siostrą Ewy Braun (byłby więc ten adiutant szwagrem Hitlera, gdyby nie to, że na kilka dni przed ślubem swego Führera rozstał się z tym światem) trwał w „Teehaus” przez tydzień. W środku wojny, w okresie surowego reżymu „kartkowego”, stoły uginały się tu pod homarami, kawiorami, ostrygami, nie mówiąc o szyńcach, indykach i innych mięsach, a szampan łał się strumieniami. Wszystko to było utrzymane, oczywiście, w najściślejszej tajemnicy. „Teehaus” kosztował 30 mln przedwojennych marek w złocie. Tyle pieniędzy wydano po to aby Hitler mógł tu kilka razy wypić herbatkę. Stałym gościem natomiast był Bormann, który korzystał z tej herbaciarni w każdej niedzielę. W odróżnieniu od wodza, Jarosza i abstynenta, raczył się napojami od herbaty znacznie mocniejszymi.

Od 1962 r. udostępniono „Teehaus” turystom. Można się do niego dostać jednak w ciągu niewielu miesięcy w roku. Od połowy października do połowy kwietnia szosa jest bowiem nieprzejezdna. Zdarza się również, że w środku lata, w mgliste dni, ruch jest także zamknięty.

Dzisiaj „Teehaus” jest urządzony wygodnie, ale skromnie. Wprawdzie nie próbowałem, przypuszczam jednak że z zamowieniem kawioru lub szampana też byłoby trudno. Natomiast widoki są czymś niepowtarzalnym. Kilkanaście metrów od „Teehaus” jest właściwy szczyt góry. Stoi na niej krzyż, a nieco poniżej tablica z napisem, że „w wypadku nadciągania burzy należy jak najszybciej schronić się w domu”. Ze szczytu widać, jak powiedział ktoś oszołomiony tym pejzażem, „pół Bawarii i ćwierć Austrii”. Jest to gruba przesada, ale widać rzeczywiście na takie odległości, że aż się w głowie kręci. Ten, kto wybrał właśnie Kehlstein na budowę herbaciarni, musiał dobrze znać Alpy.

PENSJONAT BOŻYSZCZA

Pod wpływem Berchtesgadenu wpadłem w nastrój zakopiański. Zachciało mi się obejrzeć inne kurorty. Zahaczyłem o Zell am See i o Reit im Winkel. Oba są sławne w całej Bawarii i w obu nie znalazłem niczego osobliwego. W każdym razie nie umywa się do Berchtesgadenu. Poinformowano mnie jednak, iż jest to wrażenie naskórkowe i związane z porą roku. Reit im Winkel bowiem zwie się „śnieżną dziurą”. Nigdzie nie ma śniegu, narciarze wpadają w melancholię, właściciele pensjonatów, a przede wszystkim wyciągów narciarskich, rozglądają się za mocnym, konopnym sznurem i solidnie oszodonym hakiem, aby skrócić swoje cierpienia, a w Reit im Winkel — białe szaleństwo. Śniegu po pas.

Z Reit do granicy 4 km. A od granicy do Kitzbühel trzydzieści parę. A czym jest Kitzbühel? Zimowa stolica Austrii, miejscowością, w której rozgrywane (nie jeden raz) narciarskie mistrzostwa świata i w której każdej zimy zawsze się coś dzieje. Nic zresztą dziwnego, że Austriacy wybrali sobie właśnie Kitzbühel na zimową stolicę. Uroczę to miasteczko, świetnie położone. Tereny narciarskie zaczynają się właściwie za progiem pensjonatów. Poza tym są jeszcze kolejki linowe, są wyciągi najróżniejszych rodzajów. I jest Toni Sailer, Bożyszczę (wciąż jeszcze) Austrii, wielokrotny eks mistrz, legendarny narciarz i niezgorszy biznesman.

Stały mieszkaniec Kitzbühel zapytany, co warto najbardziej obejrzeć, powie bez wahania: „pensjonat Toniego”. Oczywiście pensjonatu nie warto oglądać, nie różni się on bowiem niczym od kilkunastu innych, bliźniaczo doń podobnych. Sam fakt jednak, że na pensjonacie widnieje napis „Toni-Sailer-Haus”, zupełnie wystarczy. Szkoda, że w Zakopanem nie prowadzą każdego cepra do domu, w którym mieszka Staszek Marusarz.



Berghof w dniach świetności. Trzeciej Rzeszy. Ewa Braun fotografuje Hitlera na tarasie.



A tak urządzony był jeden z pokoi metresy największego zbrodniarza w historii.

(Fot. Archiwum)

Władysław Huzik ZADUSZKI (fragmenty)

Ocalalym mieszkańcom Zamajszczyzny

Oni mają to w twarzach
to im wrosło jak nosy
to im z oczu wylazi
nagle wilczy błysk

One w wargach memlają
tamten sen swój proroczy
Oni czapki mną w dłoniach
tamten bezwład i strach

Taki dał już im fason
tamten dzień co wstał w nocy
tak im twarze wybielił
tamten odbłask od chat

Przyszły baby odświętne
przyszli chłopci na cmentarz
dzwony biją
dzwony biją

cała wioska przyszła na cmentarz
wszyscy
którzy przeżyli

Ta stara była małą dziewczynką
kula nad nią przeszła
trup matki ją w nocy otulał
jakoś na mrozie nie uskwierkla

Ten stary był małym chłopcem
pałł krowy
na wzgórze go nie dosięgnął
tamten wysoki ogień

Tego żywego wrzucili
do dołu z palącym wapnem
przekopał trupy wylazł
tylko mu oczy wyżarło

Przyszli Niemcy nad ranem
okrzyli wioskę
mysz się nie wyśliznęła
tylko ta przez oplotki

Spalili zagrodę w nocy
weseli esesowcy
wrzucili w ogień córkę i żonę
jemu nie było sądzone

Oni mają to w twarzach
to jak ryte w marmurze
to im życie utrwala
gęstszą siatką bruzd

Oni stoją zgarbieni
na odświętnych cmentarzach
błaski zniczy im w oczach
zapałają izy

Oni śmierci zardroszczą
zmarłym przedtem i potem
kładą kwiaty w milczeniu
na zbiorowy swój grób



Ostatni krzyk. Stanisław Pasieczny

Studenckie praktyki robotnicze

ARTYKUŁ Macieja Podgórskiego pt. „Studenckie praktyki robotnicze” („Kamena” nr 19) sprowokuje na pewno do wypowiedzi niejednego pracownika naukowo-dydaktycznego uczelni, co będzie świadczyło tylko o aktualności i żywotności poruszonego problemu.

Od chwili utworzenia studenckich praktyk robotniczych już dwukrotnie pełniłem funkcję komendanta — w 1970 roku z ramienia Akademii Rolniczej w Pegeerze, w bieżącym roku z ramienia UMCS w Lubelskich Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego. Oba hufce znacznie różniły się pod względem charakteru wykonywanej pracy produkcyjnej, ale ramy organizacyjne były jeśli nie identyczne, to bardzo podobne. Zasadnicza różnica między nimi polegała na tym, że w Pegeerze przy pomocy zastępcy komendanta, którym była studentka II roku, kierowałem hufcem 32-osobowym, a w Lubelskich Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego przy pomocy dwóch zastępczyni — studentek II i IV roku — opiekowałem się 80-osobowym hufcem.

Sprestrzenia moje będą dotyczyły trzech kwestii: 1) kadry, 2) doboru studentów i efektów ich pracy produkcyjnej, 3) badań lekarskich.

Książka pracy informuje, że w skład kadry studenckiego hufca mogą wchodzić: profesorowie, docenci, adiunkci, starsi wykładowcy, wykładowcy, asystenci i nawet stażyści. W dotychczasowej praktyce tylko raz spotkałem się z przypadkiem, że komendantem w Pegeerze był adiunkt. Nie słyszałem natomiast, żeby funkcję tę pełnił docent, nie mówiąc już o profesorze. Najczęściej jednak komendantami hufców są asystenci, a rzadziej wykładowcy. Skoro książka pracy studenckiego hufca jest w pewnym sensie odzwierciedleniem dokumentu urzędowego, wobec tego należałoby w niej wymienić tylko tych pracowników naukowo-dydaktycznych uczelni, którym rzeczywiście powierza się pełnienie obowiązków komendantów. Utrzymanie fikcji nawet w sprawozdawczości nikomu nie jest potrzebne.

Jeżeli chcemy, żeby studenckie praktyki robotnicze spełniły swój cel polityczny i wychowawczy, nie możemy dopuścić do obniżenia ich autorytetu przez same uczelnie. Student roku zerowego czy pierwszego powinien wiedzieć, że jego pracą produkcyjną i postawą obywatelską interesuje się nie tylko zakład i komendant hufca, ale także uczelniane organizacje młodzieżowe: SZSP, ZMS i SZMW, a nade wszystko samodzielni pracownicy nauki wybranej przez niego uczelni. Z podanych wyżej względów funkcje komendantów powinno się powierzać starszym pracownikom naukowym, posiadającym tytuł docenta czy adiunkta, jednak z innej strony rozumianym przydziałem obowiązków służbowych. Natomiast zastępcami komendanta powinni być tylko młodszy pracownicy nauki — wykładowcy, asystenci oraz do pomocy stażyści, którzy w uczelni przepracowali na tym stanowisku przynajmniej rok. W hufcu np. 80-osobowym funkcję zastępcy komendanta powinno się powierzać jednemu asystentowi i dwóm stażystom. Chodzi o to, żeby stażysta pod okiem zastępcy komendanta nabierał potrzebnej wprawy w kierowaniu grupą oraz czuł się pewnie w rozwiązywaniu spraw organizacyjno-porządkowych.

Komendant powinien być mianowany spośród starszych pracowników naukowo-dydaktycznych danego instytutu czy zakładu uczelni odpowiednio do liczby nowo przyjętych studentów na dany rok akademicki. Komendant nie musi przebywać z hufcem przez 24 dni robocze. Wystarczy, żeby na czas załatwił wszystkie formalności organizacyjno-administracyjne przed rozpoczęciem praktyk robotniczych, a w celu podkreślenia ich znaczenia i wagi, był obecny w dniu ich rozpoczęcia na naradzie roboczej z udziałem kierownictwa przedsiębiorstwa. Pożądane byłoby, żeby komendant przyjechał jeszcze na zakończenie praktyk robotniczych, kiedy to następuje podsumowanie pracy hufca i dokonywana jest ocena postawy społeczno-moralnej każdego uczestnika.

BYŁEM KOMENDANTEM

Wojciech Pankowski

Po zakończeniu praktyk robotniczych student powinien nabrać przekonania, że wykonywana przez niego praca produkcyjna nie była zwykłą formalnością czy nawet — może w odczuciu niektórych jednostek — przymusem, ale cennym wkładem w realizację zadań ekonomicznych przedsiębiorstwa oraz sprawdzianem dojrzałości obywatelskiej człowieka już dorosłego.

Obecnie praktykowany zwyczaj powierzenia funkcji zastępcy komendanta studentom II, III czy IV roku nie zdaje egzaminu w praktyce gdyż SZSP, ZMS lub SZMW najlepszych swoich działaczy typuje — powiedzmy szczerze — do bardziej atrakcyjnych prac społecznych, bądź na obozy szkoleniowo-wypoczynkowe. Objęcie funkcji zastępcy komendanta proponuje się pozostałym członkom organizacji; prawie że w ostatniej chwili, rozciągając przed nimi miraż jeśli nie atrakcyjnego, to przynajmniej niezłego zarobku. W tej sytuacji nie ma po prostu czasu na uzgodnienie z nimi chociażby ogólnego programu pracy społeczno-ideowej w hufcu, ani też dostarczenie im materiałów o pracy tych organizacji w uczelni. Poza tym typujące zastępcę komendanta hufca rady uczelniane nie czynią tego w sposób odpowiedzialny przed uczelnią i na serio. Jeżeli tak wytypowany student trafi na wymagającego komendanta, wówczas jest zdziwiony, że musi zajmować się wieloma zajęciami pozaprodukcyjnymi. Zał niezgodnie z zasadami komendanta (studenta) jest zrozumiałe i uzasadnione, gdyż obowiązany jest on pracować razem ze studentami i w dodatku — podobnie jak komendant — nie ma normowanego dnia ani tygodnia pracy. Uczestnik hufca ma przecież prawo zwrócić się do niego o każdej porze dnia i w najdrobniejszej nawet sprawie.

Zastępcy komendantów najlepiej odpowiedzieliby, czy każdy z nich w dostatecznym stopniu posiadał umiejętność kierowania grupą. Na podstawie moich doświadczeń widzę, że studenci lat starszych, ale prowadzący aktywnie SZSP, mogą co najwyżej być brygadystami produkcji, zwolnionymi od pracy pod warunkiem, że będą dobrze kierowali pracą swojej grupy. Musimy jasno zdać sobie sprawę z tego, iż przedsiębiorstwo bardziej zainteresowane jest faktycznymi efektami produkcyjnymi niż tym, że studenci jako robotnicy sezonowi muszą zaliczyć tylko obowiązującą ich praktykę robotniczą.

W rozmowach, które przeprowadziłem ze studentami podczas tegorocznego turnusu sierpniowego, padały pełne żalu pytania, niemal że identyczne: „czy nie za dużo tych wyśilków w tak krótkim czasie”, co bardzo trafnie i słusznie podkreślił w swoim artykule Maciej Podgórski. Studentki roku zerowego nie negowały absolutnie słuszności zarządzenia zobowiązującego je do odbycia miesięcznej praktyki robotniczej, ale nie mogły sobie wytłumaczyć, dlaczego pracę fizyczną mają odbywać akurat na roku zerowym?

Całkowicie zgadzam się ze stwierdzeniem M. Podgórskiego, że *wpierw maturzysta przygotowuje się i trudzi, żeby ową maturę zdać. Następnie zaraz przygotowuje się i trudzi, żeby dostać się na studia. A jak tylko zostanie „beanem”, z miejsca czeka go miesiąc pracy fizycznej.* Dodam jeszcze, że po ogłoszeniu listy przyjętych na studia kandydatów przez miesiąc trzymamy się w niepewności, czy będzie w stanie zaliczyć praktykę robotniczą, czy nie (chodzi tu o wytrzymałość fizyczną osób, które nigdy w życiu nie pracowały). Czyli przez trzy miesiące (matura, egzamin wstępny, hufiec pracy) student roku zerowego przeżywa więcej niepokojów niż radości z powodu pomyślnie zdanych egzaminów.

Proponuję, żeby na pierwszym roku studiów (październik — listopad) przewodniczący wydziałowej komisji studenckich hufców pracy, przy aktywnym udziale KU PZPR, UK ZSL, UK SD i oddziału ZNP, powołał komendantów, ci zaś —

w porozumieniu z dyrektorami instytutów czy kierownikami zakładów — powinni z kolei powołać, a właściwie mianować swoich zastępców. Zastępcy komendantów natomiast powinni mianować brygadystów spośród najaktywniejszych studentów, działających w ramach organizacji młodzieżowych. W ten sposób ustalony aktyw kierowniczy powinien przystąpić do rekrutacji studentów poszczególnych sekcji (kierunków) na praktyki robotnicze po pierwszym, ewentualnie drugim roku studiów. Przy tak zaplanowanej i zorganizowanej akcji polityczno-wychowawczej studenci na pewno będą traktowali praktyki robotnicze jako swój obowiązek społeczny i obywatelski. Przed wyjazdem do hufca każdy student powinien znać działacza organizacji akademickich (brygadystę), jak również pracowników naukowo-dydaktycznych instytutu lub zakładu (zastępcę komendanta i komendanta).

Wskazane byłoby, żeby w jednym hufcu znajdowały się studentki i studenci, a to głównie z uwagi na rodzaj wykonywanych prac. Jestem zdecydowanie za koedukacją, chociaż i ta ma swoje minusy. Ponadto hufce w terenie trzeba tak rozmieszczać, żeby była możliwość wzajemnego zapraszania się studentek i studentów na wspólne ogniska czy wieczorki taneczne, nie mówiąc już o wymianie doświadczeń w zakresie organizacji pracy produkcyjnej, możliwości zarobków czy spraw socjalno-bytowych. W przypadku tworzenia hufców koedukacyjnych każda uczelnia powinna opracować szczegółowy regulamin, w którym należy uwzględnić między innymi porę przyjmowania gości, wypoczynku nocnego, prowadzenia się moralnego, zakaz picia napojów alkoholowych itp. z podaniem ewentualnych kar i sankcji dyscyplinarnych.

Chodzi o to, żeby uczestnik hufca znał dokładnie swoje obowiązki i te zasady, które składają się na właściwą postawę studenta. Oprócz tego uczelnia i organizacje młodzieżowe powinny zobowiązać każdy hufiec, żeby zawsze starał się wnieść nowe elementy kultury życia codziennego do środowiska robotniczo-chłopskiego, w którym pracuje. Byłoby to symboliczne spłacenie długu moralnego wobec społeczeństwa i uczelni.

W celu podniesienia rangi praktyk na inauguracji każdego roku akademickiego rektorzy powinni wymienić hufce, wyróżniające się pod względem dyscypliny pracy i osiągniętych wyników produkcyjnych, jak też wzorowej postawy studentów. Wskazane byłoby, żeby organizacje młodzieżowe najlepsze osiągnięcia swoich młodszych koleżanek i kolegów reklamowały plakatami w siedzibach swoich organizacji i uczelniach.

Badania lekarskie studentów powinny stanowić przedmiot specjalnej troski lekarza i uczelni. Każdy lekarz akademicki czy rejonowy, wydając kandydatowi orzeczenie o stanie zdrowia umożliwiającym podjęcie studiów na danym kierunku, winien równocześnie zaznaczyć, czy kwalifikuje się on do pracy fizycznej i jakiej. Chasem wrodzona wada serca, poważna dolegliwość oczu, zaawansowana słabota i nie leczona nerwica, albo jakies inne schorzenie nie wyklucza możliwości studiowania, ale stanowi poważną przeszkodę — i niezmierznie kłopotliwą — w odbyciu praktyki robotniczej. Badania lekarskie muszą być wykonane bardzo sumiennie, i odzwierciedlać aktualny stan zdrowia kandydata. Lekarze zaś nie mogą ulegać prośbom kandydatów i stwierdzać idealnego wprost stanu zdrowia, żeby przypadkiem nie zaszkodził im w dostaniu się na wymarzone studia. Wiadomo także, że niektóre zakłady, jak np. owocowo-warzywnicze, wymagają dodatkowych badań na nosicielstwo, których trudno żądać wcześniej od każdego kandydata na studia wyższe. Wynika z tego, że czas potrzebny na wykonanie wymaganych badań lekarskich stanowi poważny argument, by studentów tak zwanego roku zerowego nie kierować bezpośrednio po egzaminach wstępnych na praktyki robotnicze, ale przynajmniej po roku studiów.

Poruszone przeze mnie problemy wymagają na pewno przemyslenia i zastanowienia się nad możliwością realizacji przedstawionych postulatów i propozycji. Mam nadzieję, że na ten temat wypowiedzą się i inni komendanci hufców, lekarze orzekający o stanie zdrowia studentów roku zerowego oraz kierownicy zakładów czy przedsiębiorstw, zatrudniających studentów.

Totkowi milionerzy po 15 latach

Dokończenie ze str. 1

wczesny, tegoroczny śnieg. Zasypana nim nawet ścieżka z dwoma świeżymi śladami — od drzwi do krzywej furki. Mimo to z komórki, z wystającej blaszanej rury, wali gęsty dym. Pukam więc do odrapanych, prymitywnych drzwi, które otwierają się natychmiast, ukazując od razu, wprost z nadworu, nędzne wnętrze. Pani Olimpia jest i przejęta, i zawstydzona.

Sjadam na jedynym taborecie, jedynym „meblu” zarazem, specjalnie dla gościa wysłanym starym, ale czystym ręcznikiem. Pomieszczenie 2,5 na 4 m. Na środku „koza”, obok sterta wódrów i trocin, z których dym i czad bucha na izbę o nagich ceglanych ścianach, z sufitem z ułożonych luźno desek, ze szparami, z których prószy kurzem i jakimś plewami. Podłoga z byle jak położonych wprost na ziemi obżytków i tarcic. Dwie prycze z mizerną, chudą pościelą, tanie koce, mocno wystrzępione, jedna sfatygowana koldra. Jedyne też okienko z pojedynczymi szybami przyklejonymi po obrzeżach paskami papieru. Gryzący dym. Mocne zapachy, ostre, zbijające z nóg. Ziąb nie mniejszy chyba niż na dworze — pomimo dymiącej gorliwie „kozy”, przy której, pod uchylonymi drzwiczkami, w idealnej zgodzie kłębią się cztery koty i namiętnie iskający się kundel.

W oczach Olimpii Zajdel, milionerką zwanej, kręca się lzy. Jest głęboko upokorzona: jej rzeczywista kondycja została oto zdemaskowana, oddana na łaskę i nielaskę bądź co bądź obcego, przybysza, który nie chciał nawet słyszeć o jakimkolwiek „wynagrodzeniu”, a więc sprawa niejasna, niepewna, gdyż niezwykła w jej odczuciu, ugruntowanym latami doświadczeń. W konfuzji wielkiej nie bardzo wie od czego zacząć. Więc zaczyna od lez:

— Córki obie uciekły. Z samego rana, jak się tylko dowiedzieli, że pan przyjedzie. Ze wstydu...

Włec był ów milion, czy go nie było? Był. Córka, wówczas jeszcze małoletnia, w totka trafila. Repatriantkiej, wielodzietnej rodzinie spadł on wprost z nieba. Starczyło na ubranie, koldry, z których jedna jeszcze oto świadectwo dawnej świetności daje. Na meble starczyło na wysoki połysk i na wywianowanie, tudzież weseliska dwu córek starszych oraz ożenek jej syna. I na posłanie dwu córek młodszych do szkół, w tym owej właściwej mi-

lionerki, która maturę, jak się należy, skończyła, osiągając w rodzinie pułap naukowego cenzusu.

I, rzecz najważniejsza, w skutki potem brzemienna — przed tulaczą rodziną zamigotała kusząca perspektywa trwałej stabilizacji. Kamienicę w rynku, przy „kieracie”, nabyli, tę, w której „Maleńka” mrugająca neonem do konsumpcji i uciech nocnego życia powiatowej metropolii kusi. Tak to się mówi — kamienica. Z dumą o wiele przewyższającą materialną wartość starej rudery której remonty nie na wiele się zdadzą. Ale liczy się fakt.

Jakby tego było mało, porwali się Zajdlowie na budowę domu własnego, murowańca, z glazurą, terakotą, komfortem. Dla córki milionerki na wiano, jak przystało. Ale przeliczyli się. Zabrakło gotówki. Wspólnika więc do budowy przyjeźli, lekarza. Rychno odprzedali mu cały swój udział i pośpiesznie kupili domek jednorodzinny, całkiem już nienowoty, na Witorożskiej właśnie. Oczywiście, na ową córkę milionerkę zapisali.

Mijały lata. Córka usamodzielniała się. Milion przeminał, jako że wszystko mija. Pozostała tylko fama. Do dziś.

I oto zmarł ojciec rodziny. Nagle pani Olimpia, osoba schorowana, została sama. Ścisłej — z najmłodszą córką, a od lat czterech także z najstarszą, kobietą głęboko nieszczęśliwą, ciężko przez los, tudzież byłego męża doświadczoną i także chorą. Trzy gęby do nakarmienia, trzy grzbiety do okrycia. Najmłodsza jest jeszcze uczennicą, najstarsza żyje z konieczności na matczynym garnuszku. Trzy kobiety i jedyna inwalidzka renta matki, niespełna 900 zł miesięcznie. Plus — bo cudów wszak nie ma — dorywcze zarobki u sąsiadów, u ogrodników przeważnie. Zarobki matki, a w wakacje także córki-uczennicy.

— A pozostałe córki, syn?

— Panie, toż oni swoje mają kłopoty. swoje rodziny. Ptak, jak z gniazda wyleci... Im też się nie przelewa. Pensje mają 1400—1800, niewiele tym można zwojować. Może lepiej trochę wyszło średniej, za oficera wyszła.

Pani Olimpia nie oczekuje pomocy od dzieci. Twierdzi, że nie miałyby odwagi i nie jest jej potrzebna. „Kamienicy” część chce sprzedać, aby tylko najmłodsza szkołę skończyła. Chce tylko jednego: mieszkać jak człowiek. Na swoim. W tym mieszkaniu przy Placu Wolności, w swojej „kamienicy”. Dotychczasowy lokator, jak wie, a co

w urzędach potwierdzenie znajduje, wyprowadzić się na dniach, więc kwaterunek chyba jej powinien przydzielić. Powołuje się na przynależność jej prawem pierwszeństwa. Pokazuje pisma z urzędów centralnych, PWRN i powiatowych. Nikt nie kwestionuje zagwarantowanego prawem pierwszeństwa zamieszkania we własnym domu. Centrala i PWRN wręcz nakazują przyspieszenie załatwienia sprawy.

Tymczasem mijają lata. Władze lokalne zmieniały się w tempie przyspieszonym, ale urzędy tameczne formułują kolejne, zdumiewająco jednolite w stylu i treści kwestie o trudnościach obfektynych. W rezultacie „milionerka” i dwie jej córki od lat tkwią w tym samym niemieszkalnym pomieszczeniu, w komórce przycupniętej w głębi podwórka, gdzie hula wiatr, a zimą mróz zamurówuje rozchybotane drzwi na amen, że soją trzeba zmarznąć co rano posypywać, aby w ogóle się otworzyły i człowiek mógł wyjść na świat boży.

— Tak już nasz los. Wszystko stąd, że każdy ma nas za milionerów. Męża, jak jeszcze żył, z roboty wyrzucili, bo milioner, dzieci też nigdzie przyjąć nie chcieli, ani do pracy, ani do szkoły. Wszystko przez ten przeklęty milion...

Przeglądam zaświadczenia lekarskie, opatrzone w stemple i podpisy specjalistów, wsparte badaniami, prześwietleniami. Reumatyzm (II grupa inwalidzka). Nerwica. Ogólne wyniszczenie organizmu. I komentarz sąsiada: — Człowiek ma swój dom. Swój własny. I od lat nijak nie może doczekać się w nim swojego ludzkiego kąta. Musi mieszkać w komórce, takiej psiej kłitce, gdzie nawet najzdrowszy mężczyzna gruźlicy albo czego gorszego by się nabawił. Tego to ja już, żeby nie wiem co, zrozumieć nie potrafię.

— Reumatyzm ma kobiecina, z tego inwalidą została, a jak przyjdzie zima, to w ty jej budce po ścianach łyżwami można jeździć.

— Repatriantką jest Zajdlowa, jak i ja. Za Niemca, w Lucku już ją nad dołem postawili, bo Ruskich i Żydów przechowywała, musi ze dwunastu znalazli. Przeważnie uciekinierów z lagru, tego przy więzieniu i z zamku Lubarta. Zamek na górze, a Zajdle na samym dole, po drodze było uciekinierom, to gdzie mieli iść. No i siostrę Zajdlowej zastrzelili, a jej się jakoś udało. Ale z tego przeżycia to jej pół głowy pobielalo, choć młoda wtedy jeszcze była.

— Człowiek, taki, co trzy razy żyły sobie podrywał i raz wypił dwa opakowania elenium, nie robi tego ze zbytków. Po mojemu czas, żeby wreszcie po ludzku podejść do sprawy Zajdlów i niechby se kobiecina jeszcze przed śmiercią choć trochę pobyla na swoim.

Głosy ludu. Opinie sąsiadów. Tych samych, którzy wietrzyli niegdyś we wszystkich sensację, gorączkowali się, kibicowali smutnym wydarzeniom, byli biernymi, często i radymi świadkami kolejnych zakrętów w wyboistej koleinie losów matki Zajdel, milionerki, milion onegdajszy przeklinającej z serdeczną pasją, ale każdej bez wyjątku soboty wysyłającej nowe „kupony za dychę”. W nadziei. Z nawyku. I z rozpacz.

Stanisław Harasimiuk



RUSZYŁ z kopyta jubileuszowy, trzydziesty rok akademicki w PRL — a z nim powróciły na uczelnie stare dylematy: o jaki model szkoły wyższej walczyć, co zmienić, aby studia spełniały pokładane w nich nadzieje dydaktyczno-wychowawcze. Czym wreszcie te studia być powinny dla wchodzących w życie młodych ludzi. Komitet Ekspertów przygotował swój raport. W dzisiejszej minisondże świadomie nie prosiliśmy o wypowiedzi pedagogów i działaczy, ale przeciętnych, „szarych”, przypadkiem spotkanych na uczelni studentów.

Elżbieta Wojtallik: — Najogólniej oczekuję po studiach jakiegoś minimum wiedzy nie encyklopedycznej i otrząskania kulturalnego. Przykro to mówić, ale owo „otrząskanie” można zdobyć tylko samemu albo w sposób prowadzenia zajęć przez większość asystentów zmusza do milczenia. Frazes? Studia mają przygotować mnie do życia. Być może mają dać mi poczucie użyteczności, pozwolić się sprawdzić. Długo pracuję społecznie. Ale to z kolei jest niemile widziane na uczelni. Uważam, że nie jest dobrym studentem ten, kto ma same piątki w indeksie, ale

cały dzień leży w łóżku i się uczy. Taką drogą daleko nie zajdzie. Znam takich prymusów, którzy do dziś nie byli na żadnym spektaklu, występie; owszem, obilo im się o uszy coś o „Wiosnie Teatralnej” — ale to wszystko. Wiele osób najczęściej nie wie dla kogo i po co się uczy. Ta kategoria ludzi nie ma zainteresowań, jedynym zainteresowaniem jest nauka i wynik w indeksie, wbrew sobie, bo uczyć się wszystkiego, bez selekcji, jak leci. Czekamy na szersze wprowadzenie indywidualnych programów studiów. Na razie są one dostępne tylko piątkowiczom, dla których jest to pewne wyróżnienie. To prawda, kończą wcześniej, ale ja uważam, że stopień w indeksie nie świadczy o jego właścicielu.

Andrzej Mitan: — Czego chcę? Po pierwsze, aby mi studia dały podstawy do samodzielności. Żeby studia doprowadziły młodego człowieka do punktu, w którym on i jego otoczenie mogą stwierdzić że to, co robi, jest przepełnione treścią, że w tej dziedzinie czuje się dobrze. Po drugie — brakuje na uczelni klimatu zaufania pomiędzy dwójkiem partnerów, naukowcem a studentem, ludźmi bądź co bądź na poziomie. Marzy mi się, aby kol-

Czego chcę

lokwiów czy egzamin nie były dla studenta nakazami, a moralnymi zobowiązaniami, honorową umową z partnerem — nauczycielem akademickim. Powinniśmy współtworzyć klimat wzajemnego zaufania. Studenci nie są dziećmi. I nie chcieliby być ciągle straszeni, np. sankcjami ekonomicznymi, za nie uczęszczanie na nie lubiane i zbędne zajęcia.

Maryla Wróbel: — Studia nie uczą praktycznie żyć. Przynajmniej tych, którzy siedzą w akademikach i zadowolają się stypendium. A jak idą do pracy, to wtedy na nich wali się życie. Nie uczy się samodzielności myślenia. Cała nauka jest niepraktyczna. Student brnie w las wiadomości jak lunatyk, nie mając praktycznej umiejętności posługiwania się wiedzą.

Grzegorz Janusz: — Jestem na trzecim roku. Ale zanim się zaadaptowałem do życia było różowo. Dlaczego? Uczelnia nie interesowała się szkołą średnią, która zapomniała, że kształci kandydatów na uczelnie. I po egzaminie wstępnym człowiek gubi się. Można to niweczyć, wystarczy chociażby ostatnie klasy wprowadzić na podobieństwo pierwszych studiów. Dzielić klasy na grupy, a nie dowołać sposob podawania i oczekiwać wiadomości do metod uczelnianych. Nie odczuć spadek krzywej zainteresowania i tylko konsumpcyjnego studiowania. Nie tylko konsument, ale i twórca. Nie raz więcej osób stara się o wyjątkowość (choć stopnie rzadko) — a nie parze z faktyczną wiedzą — a nie wiano się czegoś odwrotnego po obywateli o połowę wysokości premii pieniężnej.

LINIA OBRONY

Maciej Podgóski

SPRAWA docenta Zderkiewicza i innych osób, podejrzanych o fałszowanie świadectw szkolnych, handlowanie lub posługiwanie się tymi świadectwami, załatwianie płatnych protekcji przy staraniu się na studia itp., wywołała swego czasu publiczną sensację w Lublinie, a potem falę pogłosek o rzekomych powiązaniach Zderkiewicza z tą czy inną osobistością.

Po blisko dwu latach skrupulatnego śledztwa, a w półtora roku po pierwszych aresztowaniach, przed Sądem Powiatowym w Lublinie (IV Wydział Karny) stanęło siedemnaście osób w roli oskarżonych (w tym dwanaście odpowiada za wolnej stopy) i sprawa może trwać miesiącami. W świetle śledztwa i wieńczącego je aktu oskarżenia owe „wysokie powiązania” okazały się fikcją, zaś docent Zderkiewicz jawi się jako najważniejsza postać sprawy. Przed sądem odpowiadają ludzie oskarżeni o bezpośredni udział w przestępstwie. Wobec sporej grupy „klientów”, czyli osób posługujących się fałszywymi dokumentami, postępowanie karne zostało warunkowo umorzono.

Ale nawet w wymiarze, jaki ta sprawa przybrała przed sądem, jej kontekst społeczny wydaje się bardzo niepokojący.

Czy powinno być tak, żeby szeregową pracownicę kancelarii kuratorskiej mogła swobodnie dysponować blankietami świadectw maturalnych i zaświadczeń o zdaniu egzaminów wstępnych do szkoły średniej, a przy tym jeszcze pieczęcią liceum w Kazimierzu, złożoną w lubelskim Kura-

Na ogół te świadectwa maturalne kupowali ludzie, którym brak wykształcenia przeszkadzał w uzyskaniu zatrudnienia, a przede wszystkim awansu w zakładzie pracy. Czyżby zakłady pracy nie potrafiły stworzyć odpowiednich bodźców i udogodnień, żeby ich pracownicy uzupełniali wykształcenie? I to jest temat, do którego warto by wrócić.

Następna sprawa to atmosfera, w jakiej niekiedy rozgrywają się egzaminy wstępne do szkół średnich i wyższych, szczególnie na atrakcyjniejsze kierunki studiów.

Rzecz jasna — nie sposób generalizować tutaj i poddawać w wątpliwość morale całej kadry dydaktycznej szkół średnich i wyższych. Bywa i tak, że różni cwaniacy potrafią na konto dziekanów czy dyrektorów szkół pobierać od rodziców pieniądze i chować je do własnej kieszeni, nie znając zupełnie ani owych dziekanów, ani dyrektorów, aczkolwiek zapewniają na lewo i prawo o tej znajomości. Czasem ktoś, kto dostał się na studia absolutnie o własnych siłach, gotów płacić „pośrednikowi”, którego poprzednio prosił o wsparcie.

Jest w akcie oskarżenia przeciwko docentowi Zderkiewiczowi opisany bardzo charakterystyczny przypadek. Otóż bratanica docenta, Leokadia, nie otrzymała promocji z klasy drugiej do trzeciej w liceum w Tarnogórze. Pan docent postarał się dla niej o fałszywe zaświadczenie, iż takową promocję uzyskała w III Liceum Ogólnokształcącym w Lublinie. Na tej podstawie dziewczynę przyjęto do trzeciej klasy liceum dla pracujących w Zamościu, gdzie następnie otrzymała maturę. W 1969 i 1970 roku nie dostała się na Akademię Medyczną w Lublinie. W 1971 roku pan docent postarał się dla niej o fałszywe zaświadczenie, że była pracownicą szpitala powiatowego w Puławach, co dawało jej dodatkowe punkty przy kolejnych staraniach na AM. Ponadto na legalnej maturze bratanicy wpisał język łaciński i postawił Leokadii „trójkę”, żeby jej odpadł na przyszłych studiach medycznych lektorat z tego języka, choć ona się łaciny w życiu nie uczyła.

Tak wyposażona Leokadia startuje po raz trzeci do egzaminu wstępnego i już na testach z biologii ma zasadnicze trudności, ale znajomi docenta, „bliżej nie określone” asystenci AM, usiłują spieszyć z pomocą, dyktując dziewczynie podczas egzaminu rozwiązanie owych testów. Leokadia nie potrafi nawet poprawnie przepisać tego dyktanda i z biologii otrzymuje „dwa”. Wtedy pan docent zabiera dziewczynę do domu i on z kolei dyktuje jej poprawne odpowiedzi na test biologiczny, każąc opatrzyć kartkę napisem: „Brudnopis”, następnie całość za pośrednictwem „bliżej nie określonych” asystentów podłącza do akt bratanicy, zawierających jej prace egzaminacyjne. Czekają na wynik. Ale Leokadia i tym razem odpada. Wówczas docent dyktuje panience kolejne pismo — odwołanie do rektora, iż komisja egzaminacyjna „przeoczyła” poprawne rozwiązanie testów z biologii znajdujące się w „brudnopisie”. To skutkuje i Leokadia wreszcie na medycynie! Co nie przeszkadza, że po I semestrze odpada z konkurencji ze względu na nieotrzymanie zaliczeń, czemu pan docent chwilowo zaradzić nie może!

Mam tylko jedno pytanie: kim są ci „bliżej nie określone” asystenci? Bo działaniom takich właśnie ludzi zawdzięczamy poszukiwanie znajomości przy egzaminach wstępnych na studia. Że nie jest to kwestia całkiem marginalna, wydarzenie incydentalne, świadczy nie tylko wieloosobowy proces lubelski, lecz również w części podobny proces białostocki.

Owi „bliżej nie określone” nie zasiadają na ławie oskarżonych. To — rzecz jasna — w niczym nie usprawiedliwia tych, co w niej zajmują miejsca. Kim z kolei są ci ostatni? Zostawmy chwilowo na boku pana Zderkiewicza, który jest człowiekiem światowym i do niczego nie przynaję się, zarówno w śledztwie, jak i przed sądem, do żadnego z 37 zarzutów. Reszta to ludzie zwyczajni, jakaś sekretarka, jakaś krawcowa, student, rencistka, szeregowy pracownik lubelskiego Kuratorium... W zasadzie przynaję się, niektórzy zaniżają jedynie pobrane za swe „świadczenia” kwoty. Fałszowali, pośredniczyli, korzystali... Interes się rozkręcał, w części już poza panem Zderkiewiczem. Świadectwa szkoły podstawowej, przyjęcia do szkół średnich, do przedszkola, żłobka, odroczenie służby wojskowej... Wszyscy nie karani, posiadający na ogół dobrą opinię w miejscu zamieszkania i w pracy, spokojni obywatele. I to właśnie niepokoi najbardziej!

Jedną z głównych oskarżonych pisał, iż do popełnienia przestępstwa zmusiły ją wyjątkowo cięż-

kie warunki materialne, sprzedawała krew przez 12 lat, prala ludziom bieliznę, sprzątała u obcych i pracowała... w sekretariacie kuratorskim. Nie jest wszak żadnym obiektywnym uzasadnieniem przestępstwa, że się nie zarabia tyle, ile by się chciało.

Najciekawsza postać to jednak pan docent. Był zastępcą dyrektora Instytutu Produkcji Ogrodniczej w Akademii Rolniczej w Lublinie, choć, jak napisano w akcie oskarżenia, „bezpśredni przełożeni ocenili jego kwalifikacje naukowe jako mierne, podobnie jak i dotychczasowy dorobek z tego zakresu” (a może właśnie dlatego pełnił funkcje administracyjne?). Nie zarabiał źle, bo 4728 zł miesięcznie. Miał dobrą pozycję społeczną i zawodową, a w roku 1971 otrzymał nagrodę Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego II stopnia za całokształt pracy naukowo-dydaktycznej (coś tutaj jakby się nie zgadzało, czyżby to nie „bezpśredni przełożeni” typowali go do tej nagrody?). Przyznam, iż w świetle aktu oskarżenia trudno zrozumieć tego człowieka, ale dla prokuratora Antoszka nie są ważne subiektywne motywy psychologiczne, tylko fakty, te zaś raczej przemawiają niekorzystnie dla oskarżonego.

Podobnie nie potrafili zrozumieć linii obrony docenta Zderkiewicza, kiedy przez dwa dni przysłuchiwałem się wyjaśnieniom, jakie składał przed sądem. Nie przyznaje się, że zorientował się w możliwościach Nowakowskiej, pracownicy kuratorskiej, prosił ją o sprostowanie świadectwa maturalnego dla jego drugiej bratanicy, Zofii, a następnie po otrzymaniu świadectwa skłonił bratanicę, żeby zaprzestała uczyć się do matury w szkole, do której uczęszczała, a rozpoczęła naukę z wybranych przedmiotów do egzaminu wstępnego na studia medyczne. To Nowakowska go nachodziła i siłą darmo wepchnęła bratanicę świadectwo maturalne ze szkoły w Kazimierzu. Czy jako człowiek z wyższymi studiami, pracownik naukowy, członek komisji egzaminacyjnej na Akademii Rolniczej, mógł przypuszczać, że maturę się otrzymuje nie ze szkoły, do której się uczęszcza, i w dodatku otrzymuje się dzięki kuratorium? Mógł, ponieważ Nowakowska zapewniała go, że wysyłają nowe przepisy w tej sprawie, a on się na przepisach szkolnictwa średniego znać nie musi i nie zna, Nowakowska zaś wydała mu się osobą poważną i godną zaufania, dlatego jej wierzył. Nigdy też nie żądał od Nowakowskiej po tysiąc złotych dla asystentów za każdy plus dostawiony do ocen egzaminacyjnych jej protegowanych. Dlaczego Nowakowska twierdzi co innego, on nie rozumie zupełnie, bo ona siebie w ten sposób obciąża, a on i tak niewinny. Wszystkie zeznania świadków i współoskarżonych, niekorzystne dla niego, to są zeznania wymuszone szantażem przez śledczych. Podstępne, fałszywe protokoły zeznań jego kuzyna i bratanic celem szantażowania go. Podstępne penetracje pracowników milicji wokół jego osoby. Ekspertyzy biegłych niewystarczające. I tak dalej, i tak dalej. Wszyscy kłamią, on nie kłamie, bo on czysty jak iza.

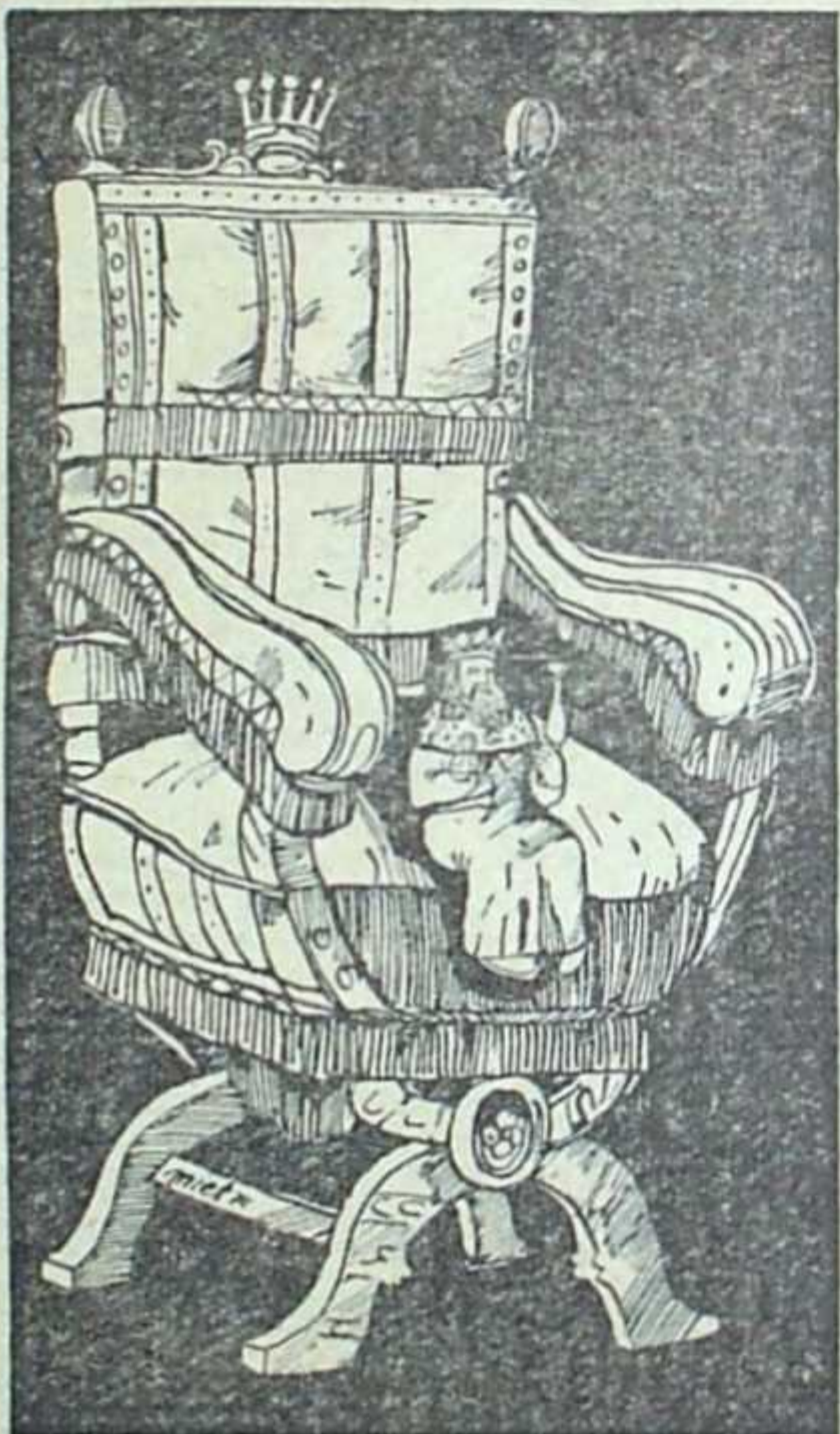
Wysoki Sąd w osobie sędziego Haliny Podbielskiej, która prowadzi rozprawę spokojnie, nadwyżając kulturalnie, z kamienną twarzą prosi protokolantkę o zanotowanie wszystkich odpowiedzi pana docenta. Kiedy tak patrzę na tego niewielkiego wzrostem człowieka, lekko łysiejącego i lekko szpakowatego, ubranego nieco bezbarwnie, szaro, jak spokojnie, monotonnie niemal i z niejaką godnością obrażonej niewinności składa swe wyjaśnienia, wówczas przez chwilę wydaje mi się, że on na tej sali stoi za pulpitem ławy oskarżonych zupełnie przypadkowo, wbrew zeznaniom dziśiątków świadków i współoskarżonych, wbrew ekspertyzom biegłych i wynikom dwuletniego śledztwa. Wydaje mi się, że za chwilę stąd wszyscy wyjdziemy, skończą się koszmarna maligna, pójdziemy do domów, żon, mężów, dzieci, żeby dalej żyć normalnie. W świecie, gdzie większość ludzi nie robi kantzów, fałszerstw, tylko zwyczajnie uczciwie pracuje.

Ale pan docent po złożeniu wyjaśnień siada na ławie oskarżonych, sąd ogłasza przerwę, a ja wychodzę na papierosa i myślę wtedy — na co ten człowiek liczy, broniąc się w taki sposób? I jak ten pan wygląda w kontekście siedzących obok oskarżonych sekretarek i krawcowych? I jeszcze jak on wyglądał, kiedy go w czasie aresztowania milicja wyciągała spośród worków kartofli, którymi się był nakrył?

P.S.

Gwoli sprawiedliwości trzeba wyjaśnić, iż przedstawione w artykule „porządki” panujące w kancelarii lubelskiego Kuratorium nie obciążają obecne go kierownictwa tej instytucji.

MP



Rys. M. Olszewski

torium, a przeznaczoną do likwidacji w mennicy państwowej? Albo ten autentyczny stempel III Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie, który znalazł się — jak podaje akt oskarżenia — „w nie ustalonych okolicznościach” na sfalszowanym odpisie świadectwa ukończenia drugiej klasy tejże szkoły? Czy wreszcie ów autentyczny ostemplowany blankiet Prezydium GRN w Lublinie, na którym to blankiecie fałszerz wypisał zaświadczenie o zatrudnieniu (fikcyjne, rzecz jasna), lecz jak ten blankiet „wyfrunął” z prezydium, nie wiadomo!

Oczywiście, bałagan w urzędach i szkołach, tworzący okazję do przestępstwa, nie usprawiedliwia ludzi, którzy zeń korzystali fałszując dokumenty. Ale można by pomyśleć, że w tych instytucjach pieczęcie i druki urzędowe walają się po podłogach! Jedną z głównych oskarżonych, była pracownica kancelarii kuratorskiej, sama przyznaje, że wydała dwadzieścia fałszywych matur za 40 000 zł. I ten proceder trwał latami.

GŁOSNY przed rokiem skandal obyczajowy, którego bohaterami byli angielski minister lotnictwa lord Lambton i znana w londyńskim półświatku call-girl, Norma Levy, znów znalazł się na łamach prasy. Piękna Norma bowiem zaczyna publikować fragmenty pamiętników, w których nie waha się przytaczać nazwisk swoich klientów. Nie wyłączając — nie żyjącego zresztą — prezydenta pewnego państwa, i twierdząc, że spotkania z wybitnymi politykami były organizowane przez urzędników Foreign Office. Z nią i z innymi dziewczętami tego pokroju.

Ale pozostawmy w spokoju tych, którzy nie żyją. Oto fragmenty jej pamiętnika, opublikowane właśnie przez „Paris-Match”.

„Jean Horn, patronka mego klanu, zatelefonowała do mnie pewnego listopadowego popołudnia: chciałabym, abyś spotkała się z Łukaszem, to stały gość. Przybył punktualnie o piętej, z czarnymi okularami na nosie. Zrobił na mnie wrażenie farmera: bardzo przyjemny, pociągający i zabawny. Było nam dobrze od początku. Do mojego normalnego „prezentu” w wysokości 500 franków dodał 250 mówiąc: to dla ciebie, nie dla Jean.

Spotykaliśmy się co najmniej raz w tygodniu o godzinie piątej. Za każdym razem przynosił butelkę wina lub szampana, kilka razy whisky, wiedział, że nie lubię koniaku. Spędzał ze mną dwie godziny, potem spał jedną godzinę. Staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Przywiązałam się do niego, wolałam widzieć jego niż któregoś z innych moich klientów. Gdy chciał mnie wi-

Ministerialna call-girl

dzieć po południu, najpierw rano telefonował do mnie, potem do Jean — nie chciałam, aby ona myślała, że ja ukrywam spotkanie aby wziąć dla siebie jej część opłaty.

Byłam zawsze dumna z tego, że z moimi klientami miałam tylko powiązania zawodowe. Usiłowałam dać im to, czego oczekiwali, ale pilnowałam się, aby do naszych stosunków nie zakradł się sentyment. Dla Tony złamałam swoje reguły. Nie mogę powiedzieć, aby nasze spotkania miały wyłącznie charakter profesjonalny, przynajmniej jeżeli chodzi o mnie. Był jedynym z moich klientów, dla którego odwoływałam spotkania z innymi, bo po prostu chciałam go widzieć.

Mój mąż Colin, który okradał mnie z pieniędzy i był powiązany ze światem przestępczym Londynu, sfotografował mnie z Lambtonem przez dziurkę, którą wydrążył w ścianie mego pokoju. Zmusił mnie do mówienia. Wybuchł skandal. Poszukiwany przez policję i dziennikarzy, Colin ciągnął mnie ze sobą po wielu krajach, potem chciał mnie zabić pozorując wypadek samochodowy. Zdołałam jednak uciec i wrócić do Londynu. Przesłuchiwała mnie policja, potem wywiad wojskowy, wreszcie wszystko ucichło. Przez wiele dni obawiałam się wyjść z domu. Gdy wreszcie wyszłam, pierwszy taksówkarz powiedział do mnie: — Jak idzie, Norma? Wyglądasz ładniej niż na fotografiach.

Nie jestem tak bogata, jak chciałam, ale jestem niezależna. Myślę o moim życiu bez żalu. Gdybym je miała przeżyć ponownie, zapewne robiłabym to samo.

Norma opisuje również szczegółowo stosunki, panujące w londyńskim półświatku. Jej zdaniem to, co się mówi o kontroli sprawowanej nad prostytucją przez środowisko przestępcze, w zasadzie nie odpowiada prawdzie. Istnieją natomiast klany czy siatki kilku lub kilkunastu dziewcząt, kierowane z reguły przez „patronki”. One właśnie, patronki, idą na pierwsze spotkanie z klientami, którzy uzyskali kontakt z klanem poprzez swoich znajomych. Gdy im się klient nie podoba, wychodzą i zrywają kontakt. Dziewczęta muszą być dobrze ubrane, dobrze wychowane i ucciwe wobec patronki oraz klientów. Przez sześć dni w ciągu tygodnia nie mogą opuszczać mieszkań od południa do północy.

Klan Jean składał się z 25 dziewcząt, za każde spotkanie pobierała ona określony z góry procent. Obowiązywał swego rodzaju cennik, najwyższy za godziny noce. Wśród tych 25 dziewcząt tylko sześć lub siedem było zatrudnionych na stałe. Inne „pracowały” dorywczo — były to dziewczęta o podwójnym życiu, mężatki, matki, kobiety bogate. Jedne robiły to celem zdobycia dodatkowych pieniędzy, inne dla przyjemności.

Norma nie wierzy, aby „patronki” z różnych krajów posiadały własną organizację. Ale faktem jest, że współpracują celem osiągnięcia dodatkowych zysków. Jeżeli dziewczyna, „pracująca” w Paryżu, Hamburgu czy Zurychu przyjeżdża na weekend do Londynu, posiada już adres Jean lub innej „patronki”. Ale to nie znaczy, że zostanie przyjęta do klanu chociażby na krótki czas.

Kamena str. 12

Chwałę „Naga”

(Dokończenie ze str. 1)

Tegoroczny program lubelskiego PPIA przewidział na festiwalowy tydzień października, oprócz wymienionych przed chwilą pozycji, szereg innych nie mniej ciekawych imprez, jak: „Rozpirzony bęben” i „Kirelejson” (Teatr Jednego Aktora — Lublin), „Żyć na huśtawce, żyć” (Kabaret „Salon Niezależny” — Warszawa), „Życie, miłość, folk” („Bractwo Kurkowe 1791” — Łódź), „Melodie z Turynii” (Blumenstädter NRD — Erfurt), „Nie angielskie, nie kreolskie” (Kabaret „Elita” — Wrocław), „Wizyta i kwita” (Kabaret „TEY” — Poznań).

Niestety, z konieczności muszą porzucić na zwał przekazywanie kilku wrażeń odebranych w dniu inauguracyjnym, albowiem ciąg dalszy „Prezentacji” przypada właśnie na okres mego tymczasowego pobytu „w sieniej dali”, a skądinąd „Kamena”, podwyższywszy swój nakład do karkołomnej wysokości, pedzi naprzód przez niwy oraz odłogi kultury i sztuki w tempie czterech koni Apokalipsy, z czego wynika, że nie może czekać na wystęgi dnia recenzentki.

Tedy ekspresowo — parę słów o „Nagiej”. Już samo pozyskanie jej dla lubelskich „Prezentacji” było niemałym osiągnięciem kierownictwa Estrady. Jako naoczny świadek, stwierdzam, że przez caluteńki sierpień wszystkie sopockie płoty były gęsto wytapetowane afiszami tej pierwszej polskiej rock-opery. Realizacja jej tam, po gdyńskich kwietniowych sukcesach, nie doszła do skutku, podobno dlatego, że oszczędzono głos Stana Borysa dla sukcesu na Festiwalu Piosenki.

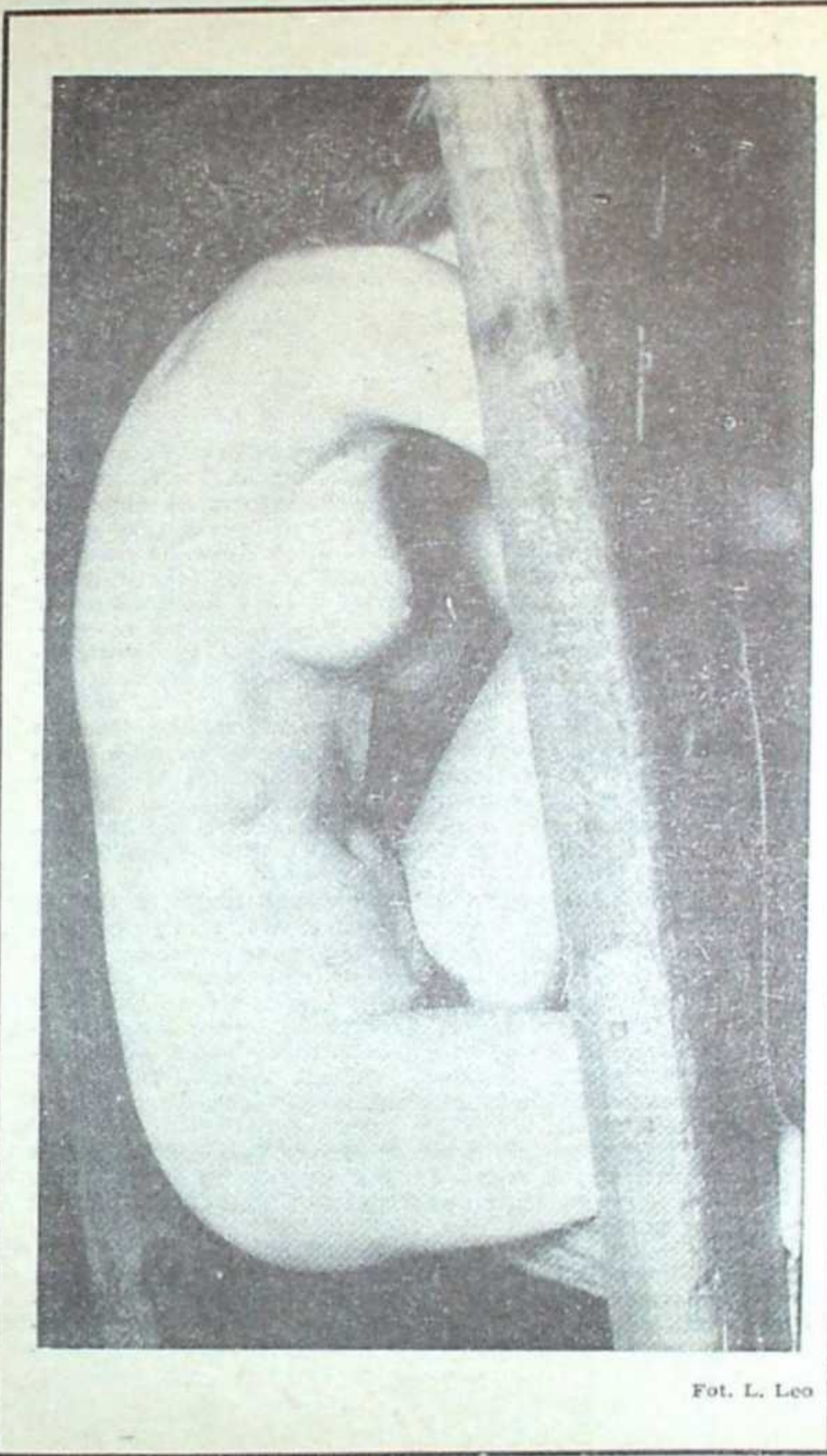
I słusznie. Pamiętam, w niegdysiejszych czasach, w Petersburgu, jedyny tylko wybitny tenor, Jerszow, zgadzał się śpiewać w wagnerowskich operach, a czymże są dzieła arcyministra z Lipska wobec rock-opery, pod względem niebezpieczeństwa zdarcia głosu! Toteż nie wróże długotrwałej sprawności wokalne światnym naprawdę śpiewakom: Adzie Rusowicz, Wojciechowi Kordzie, Sta-

WĘGIERSKA „OMEGA”

GDY ostatnio jeden z prezentatorów Polskiego Radia zapytał organistę zespołu „Omega”, czym jego grupa różni się od pozostałych, ów odpowiedział, że to raczej pozostałym zespołom należy zadać takie pytanie, gdyż wszystkie one w jakimś tam stopniu kopiują styl najstarszego węgierskiego zespołu młodzieżowego. Jest w tym sporo prawdy, gdyż „Omega” rzeczywiście wywarła wpływ na całą węgierską muzykę nowoczesną. Znany dziś i bardzo wysoko ceniony „Locomotiv GT”, występujący często na Zachodzie, powstał dopiero niedawno. Trudno autorytatywnie stwierdzić, która grupa prezentuje wyższy poziom, chociaż opinie fachowców skłaniają się raczej ku „Locomotiv GT”. Ostatni występ na sopockim festiwalu nie potwierdził tych opinii, ale był to ponoć wyjątkowo nieudany koncert w całej karierze zespołu.

„Omegę” mogliśmy usłyszeć na XV Musicoramie, która zawitała do Lublina. Zespół wystąpił w pięcioosobowym składzie: organy z syntezatorem, dwie gitary, perkusja i śpiew. Niesamowicie wyglądali muzycy, ubrani w dziwne szaty przypominające strój diabła ze starych rycin, oświetlani stroboskopem. Trzeba przyznać jednak, że mocna muzyka doskonale współgrała z tradycyjnym „show”.

„Omega” gra również muzykę kopiowaną na angielskich zespołach tego typu i niewiele w niej oryginalności, o czym stale przekonują muzycy. Te same rozwiązania harmoniczne, dominujące układy bluesowe i hard-rock. Podobać się może tylko brzmienie



Fot. L. Leo

I ZNOWU „The Beatles”

LEŻY przede mną płyta, której wydanie jest wypadkiem bez precedensu; oto zespół muzyczny przedstawia w czterech krążkach całą swoją przygodę od 1962 roku. Czterech długowłosych chłopaków z Liverpoolu, słynniejszych — jak twierdzi jeden z nich — od Chrystusa.

„The Beatles” nie byli zespołem muzycznym — byli zjawiskiem, nad którym do dzisiaj pracują ekipy socjologów i psychologów na całym świecie. W 1962 roku sprzedają swój pierwszy przebój: „Love Me Do”, później w zaskakującym tempie „Please, Please Me”, „From Me To You” i „She Loves You”. Tak — „Ona kocha ciebie, chciałabym trzymać cię za rękę, kiedy jestem nocą w domu po dniu pełnym pracy czuję się świetnie z tobą, kochaj mnie, ciemność jest na niebie, a ja ją kocham...” Komplet utartych banałów. Banałów, ale nabierających nowego piękna, odżywiających całą swą świeżością, gdy wychodzą spod pióra młodych ludzi nie znających tajników całej tej „wielkiej” muzyki. Przecież — wybaczenie, proszę, to określenie — analfabeci muzyczni stworzyli klasykę muzyki rozrywkowej. Zresztą, jakże ulotnym pojęciem jest to słowo: Mozarta uważano niegdyś za kompozytora wybitnie rozrywkowego! Zaden z „Beatlesów” nie był nigdy dobrym instrumentalistą, obce im były zasady harmonii, a poziomem aranżacji, znakomitym wręcz wyczuciem symbiozy tekstu z muzyką bili na głowę wszystkich, co do tej pory powiedziane zostało w muzyce rozrywkowej.

To nie był zespół — to był cały problem. Świat nie pamiętał, by któregoś z ówczesnych idoli aż tak uwielbiano. By masowa psychoza objęła młodzież Zachodu — i Wschodu też, gdzie żywi „Beatles!” nigdy się nie pojawił. Toż na ich koncercie było w USA 56 tysięcy widzów, świat nie znał takich liczb — świat był przerażony. Kiedy później przyznano słynnej czwórce, za przysparzanie dewiz pa-

nowi Borysowi. No, ale skoro przekładają szybko sensacyjny rozbiłk nad znużoną karierę wybitnych śpiewaków opery tradycyjnej, będą musieli zapłacić kiedyś za swój kaprys (czy wyrachowanie?) wysoką cenę.

Osobiście, jako odbiorca muzyki, we wczesnej młodości pasjonowałam się operą klasyczną, nigdy natomiast nie przepadałam za operetką i już przed drugą wojną światową wolałam jazz od mdłych walczyków wiedeńskich. Obecnie, pochłonięta perypetiami teatrów dramatycznych, nie śledziłam rozwoju wszelkich odmian muzyki jazzowej, a big-beat wydaje mi się, powiem otwarcie, wulgaryzacją muzyki w ogóle.

Lecz czas powiedzieć wreszcie coś konkretnego o wrażeniu, jakie sprawiła na mnie „Naga”. Otóż z pewnością jest to „zdarzenie” zasługujące na jak najwięcej uwagi. Podobnie do wielu naszych dzisiejszych nowości plastycznych, teatralnych, parateatralnych, prowadzi owa pierwsza polska rock-opera rodowód z zagranicy. Asumpt do jej powstania dało chyba osławione widowisko „Hair”. Tekst „Nagiej” opracował na prośbę Niebiesko-Czarnych Grzegorz Walczak, znany już przecie literat, kilkakrotnie wyróżniany. W danym wypadku chodziło o „przygotowanie jakiejś bliżej nie określonej formy literackiej do ich muzyki”. Walczak napisał cykl songów powiązanych jedynie zana-

czona subtelnie postawą wobec życia. Nawet przy pobieżnym przeglądnięciu tych wierszy w druku, dostrzega się ich humanitarną aurę, zatroskanie losem człowieka, zniechęcenie zwyrodniałą cywilizacją, słowem — typowy dzisiejszy Weitschmerz, nie ten Chateaubriandowy, sentymentalny, lecz wyrażający się w gwałtownych kontestacjach. W sumie jest tu niewątpliwie technicznie poezja, (mimo nieuniknionego w tekstach wokalnych „wotowania”) i podparte muzyką bardziej tradycyjną (choćby przynajmniej nowoczesną koncertową muzyką „filharmoniczną”) na pewno treścią wierszy Walczaka poruszyłyby słuchacza. Ale muzyka instrumentalna rock-opery zagłusza słowa, niezależnie od zalet dykcji wokalistów, którzy występują w „Nagiej”. Wskutek tego choć Walczak dał do jakiejś „całościowej” treści, opus załatuje utartą już na występach estradowych „składankowością”.

Muzyka „Nagiej”? Tworzyli ją również nie byle jacy już specje (i ludzie zdolni). Lecz mimo że jest to dzieło muzyczne „zbiorcze”, intensywność dźwięku charakterystyczna dla „rocku” niweluje w dużym stopniu styl poszczególnych kompozytorów. I zaskakujący rezultat! — w sumie, przy długotrwałej audycji, słuchacz odczuwa w końcu pewną monotonię.

W ogóle w przypadku „Nagiej” zachodzi dziwny paradoks: nby każdy element z osobna jest opra-

cowany fachowo, a całość zdradza niedoświadczonego „amatora”, którego nie pokonał nawet doświadczony reżyser i scenograf Jerzy Krechowicz.

Myszę więc: czemu by Niebiesko-Czarni, Krechowicz i Walczak nie mieli przy dopracowywaniu „Nagiej” wyjednać pomocy u jakiegoś wysoce wykwalifikowanego zawodowego inscenizatora-kreacji? Wyobrażam sobie, ile by zyskały migotliwe efekty świetlne i sytuacje, i gra solistów, i faktura „niesamowitych” rekwizytów (Bread and Puppet Company miała w obrazie stworzenia świata — lepsze) na scenie Teatru im. Osterwy z jej właściwym zapleczem technicznym.

Pod adresem zaś katowickiej „Sruby” — same superlatywy. Teresa Worona dokonała doskonałej adaptacji „Ordynata Michorowskiego” (czy, czy nie okraszono grafomanią Mniszkówny dodatkowymi kwiatuskami z oślej łączki?). We współpracy z reżyserem Jerzym Szczawińskim aktorzy osiągnęli wręcz znakomitą „prezentację” obydwój głupoty i afektowanego sentymentalizmu. O — tę właśnie parodię należało zawieźć do Kanady zamiast szawego spektaklu Teatru im. Jaracza z Łodzi.

Pozostaje mi życzyć kierownictwu Estrady dalszych sukcesów.

Maria Bechzyc-Rudnicka



(tzw. sound), tworzone przez dobre wzmacniacze i cudo techniki XX w. — syntezator Moog, dający wszelkie możliwe odgłosy pracujących maszyn.

Specjalnych indywidualności brakuje. Na koncercie potwierdził tylko duże umiejętności techniczne i muzyczny zmysł perkusista zespołu, gdy w długiej partii solowej zaprezentował kil-

ka arcytrudnych struktur rytmicznych. Gitarzysta solowy, wiernie kopiujący szkołę gry Claptona, popisywał się częściej grepsami niż faktycznymi umiejętnościami.

Całość koncertu urozmaicano zapalaniem bliżej nie określonych substancji chemicznych, które wywoływały czerwony ogień, zapach spalenizny i kon-

sternację wśród publiczności. Sądząno nawet, że to palą się 200-watowe wzmacniacze.

Ogólnie — „Omega” podobała się publiczności, doceniła to przede wszystkim najmłodsza widownia urządzając tuż pod ścianą rytualne tańce.

Na zdjęciu: węgierska grupa „Omega” w pełnym składzie.

stwu, najwyższe odznaczenie w Królestwie Brytyjskim — Member of the Most Excellent Order of the British Empire — świat ów zakopiał i to z dwu powodów. Kawalerowie odznaczenia, zasłużeńi lordowie, zwrócili swoje ordery na znak protestu; zakochana w „Beatlach” młodzież przysłała tysiące depech gratulacyjnych. Na okładce ich najciekawszej, najdziwniejszej, pełnej niewyjaśnionych wątpliwości płyty, psychologicznej „Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band”, figurują w dziwnych mundurach wojskowych z przypiętym orderem, woskowe figury stwarzają mit o istniejących sobowótach.

Świat już zapomniał o Presley'cu — świat szaleje w rytmie „ye-ye”.

„Beatles” dawno już pożegnali się z tym dźwiękiem, swoim hasłem wywołującym; nadal jednak karetki pogotowia wywożą z ich koncertów nieprzytomnych z euforii wielbicieli, nadal rodzice rozpaczają po córce, która

w myśl filozofii długowłosych muzyków opuściła dom. „Beatles” zapytują ustami zamożnych przedstawicieli establishmentu: dlaczego to zrobiła, opuściła dom, w którym miała wszystko, było jej dobrze, dlaczego rano wyszła z mieszkania i uciekła z kierowcą ciężarówki, przecież miała wszystko? Jak echo powtarza się na drugim planie chór: ona opuściła nas, była dla nas wszystkim.

John Lennon, Paul McCartney, George Harrison, Ringo Starr tkwią w szarej codzienności tych wszystkich zbuntowanych, niezadowolonych, zniechęconych. Toć sami niedawno byli na tym miejscu; grali w klubie całą noc za skromny posiłek, dzień spędzali na basenie i czekali na szczęśliwy moment. Z nimi czekały tysiące, setki tysięcy podobnych. Z tym, że oczekując, oczekiwali każdy czego innego. Liverpool, Hamburg, znowu Anglia i jeszcze raz NRF, potem USA, szukali miejsca w czasie, gdy dane im będzie rozpo-

cząć swą wielką wędrówkę po życiu rówieśników.

W to życie najpierw jednak wkroczył narkotyk. „Yellow Submarine” — subtelny film rysunkowy z doskonałą już muzyką, mnóstwo nagrań na pozórnym albumie, wspaniała ale jakże przerażająca wizja snu narkotycznego. LSD... LSD... Lucy in the Sky with Diamonds — pomarańczowe drzewa, pomarańczowe niebo, na ekranie dziwne potwory, dla tych, którzy znają historię i zainteresowania „Beatlesów” kolejno dowód, że to nie gitary i rozwrzeszczane, histeryczne twarze, że to już nowa filozofia. Teksty piosenek, filmy, książki Lennona, studia w indyjskich świątyniach. Poza? Ratowanie kończącej się prywatnej epoki? Może, ale i postłannictwo, reprezentowanie najmłodszej generacji, ratunek niesiony dla pozabawionych rodziców dusz, zamkniętych w czterech ścianach z kiesz, nabitą przez tatusia. Żeby to zrozumieć, trzeba zobaczyć Zachód, nie jego blichtr i sportowe samocho-

BUNTOWNIK

MIESZKANCY kanadyjskiej prowincji Quebec dzięki Gillesowi Vigneault i kilku innym piewcom odrębności narodowej postanowili ustalić, do jakiej narodowości należą. Stworzyli sobie historię, wyszukali przodków, wymyślili świetlaną przeszłość i pełni ufności czekali. Po pewnym czasie spostrzegli — że nic się nie zmieniło, nie uregulowało, iż mimo tradycji — przestali być Francuzami przeniesionymi za Atlantyk, aczkolwiek nie stali się prawdziwymi Amerykanami. Wówczas, rozdarci wewnątrz, zadawali pytania, rozważali...

Jednym z nich był pieśniarz Robert Charlebois, znany w Polsce z ubiegłorocznego festiwalu sopockiego. Z gitarą w ręce śpiewał poetyckie piosenki, opierając się na tradycji wielkich przodków. Piosenki jego były znakomicie zharmonizowane z muzyką, piękne, lecz politycznie obojętne. Charlebois wstąpił się obroną „starego języka”, XVII-wiecznej gwary francuskiej, dziwnym zarządzeniem losu ocalałej od zanieczyszczeń.

I oto — niemal z dnia na dzień — nastąpił przełom w osobowości pieśniarza. Zetknął się z muzyką Antyli, Ameryki Łacińskiej i Kalifornii.

Jednocześnie Charlebois zmienił język, przyjmując „joual”, którym posługują się mieszkańcy przedmieść. Jest to zlepek zniekształconych słów i zwrotów francuskich, angielskich, żargonów zawodowych i licznych określeń, przywiezionych do Montrealu przez emigrantów. To prawda, że tak jak poprzednio używał poetyckiej, nieco archaicznej francuszczyzny, tak obecnie używa poetyckiego „joual”, lecz posługuje się nim jako pieśniarz, reporter, socjolog i polemista. Nic zatem dziwnego, że ten bogato owłosiony 30-latek o łagodnej twarzy stał się czymś więcej, niż idolem młodzieżowym. Stał się wyrazicielem myśli, gdy rzuca wezwanie: — Chcę zburzyć mur dźwięku i znaleźć melodię, którą wspólnie zaśpiewają wszystkie trzy Ameryki: Północna, Środkowa i Południowa...

dy, nie magazyny przeladowane towaram, który dusi już i przywala swoje go producenta, ale woskowe figurki wtulonych w kat pokoju „Rolling Stonesów” i miliony im podobnych, strutowanych dobrobytem młodych ludzi, którzy dopiero za kilka lat staną się konformistami i zaczyna „robić pieniądze”. „Beatles” trafiają do nich, a że są ich miliony na świecie, muzyka czwórki z Liverpoolu staje się religią. Tu już Bóg nie wystarcza, z nim kładą się spać rodzice, materialistyczne tendencje w filozofii domagają się materialnego bóstwa. Pojawiają się „Beatles” i równowaga zostaje zachowana.

Świat się gniewa — świat przydużony rykiem gitar, konformistyczna beczka z prochem przygasa i wspaniałomyślnie ustępuje. „Beatles” śpiewają: truskawkowe pola, dla wszystkich, truskawkowe pola...

Jaek Grün

